

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 21 marca 1914.** **Nr. 12.**

Policya w kościele.

(Treść na str. 2).



Policya w kościele.

(Do illustracyi tytułowej).

W berlińskim kościele św. Piotra w Moabicie zdarzył się niezwykły wypadek wkroczena policyi do świątyni. Genezą tego skandalicznego zdarzenia są spory narodowościowe, jakie w tej parafii toczą się między Niemcami a Polakami, mieszkającymi bardzo licznie w tej dzielnicy. Spory te trwają od dość dawna, a przyczyna ich tkwi w hakatystycznej polityce rządu, usiłującego uprawiać germanizacyę przez Kościół. W danym wypadku znaczna część winy spada też na tamtejszego księdza, nazwiskiem Jacobus, który mimo próśb Polaków odmówił im polskich kazań i nabożeństw. Na tem tle rozegrał się fakt w ubiegłą niedzielę. Gdy dzieci polskię były przygotowane do pierwszej Komunii św., zażądali ich rodzice, by mogły przystąpić to osobno od niemieckich i w czasie nabożeństwa polskiego. Odmówił im tego ks. Jacobus. Dzieciom polskim, które nadeszły gremialnie wraz z rodzicami, nie chciał udzielić Komunii św. i kazał im przyjść na drugi dzień, kiedy będzie komunikować dzieci niemieckie. Polacy wówczas odśpiewali w czasie mszy pieśni polskie, za co zgromił ich od ołtarza ks. Jacobus, a z ambony wikary ks. Amandus, i zawezwał policyę do usunięcia Polaków ze świątyni.

Nasza illustracya tytułowa przedstawia scenę, jak pruscy policyanci wyrzucają Polaków z kościoła.



Skazanie morderców ś. p. Swiszczowskiego: Podczas mowy prokuratora.



Skazanie morderców ś. p. Świszczowskiego: Konfrontacya Łyżwińskiego (X) ze Świerczyńskim (XX).

Skazanie morderców ś. p. Świszczowskiego.

Skończyła się przykra i niezdrowa sensacya, sprawiedliwości stało się zadość, trybunał skazał morderców. Oby jak najmniej takich sensacyj, powstałych na ponurem tle zbrodni i zwierzęcych instynktów. Po wsze czasy dla człowieka najwięcej interesu budziła psycha ludzka we wszystkich swych przejawach, nawet ujemnych, stąd to wielkie zainteresowanie Krakowa ubiegłym procesem i jego przebiegiem; nietylko ciekawość ściągała do sądu tłumy, powodowało je też poruszone poczucie etyczne. Rozprawa nowoczesna daje najgorszemu nawet mordercy obronę, by uniknąć omyłek lub zbytniej surowości, temu też wszystkiemu stało się zadość obecnie. Morderstwo badano szczegółowo i po rozprawie wydali sędziowie przysięgli srogi, lecz sprawiedliwy werdykt skazując wszystkich bezspornie obciążonych. Dwa wyroki śmierci! — to brzmi strasznie. Kwestya kary śmierci podlega dyskusyi, ale w danym wypadku i wina skazanych jest wielka — o surową karę i przykład woła krew niewinnie zamordowanego starca i krzywda, jaka się stała jego rodzinie.

Po siedmiodniowych rozprawach wyrok zapadł we wtorek 16 m. o godz. 2-giej w nocy, a opiewa on: Stanisława Gackiewicza i Jana Kobrzyńskiego skazano na karę śmierci przez powieszenie z tem, iż pierwszy ma być powieszonym Gackiewicz. Jana Łyżwińskiego z uzwględnieniem okoliczności łagodzących (nieprzekroczony 20-ty rok życia), na 18 lat ciężkiego więzienia, z postem co miesiąc i ciemnicą raz na rok, 30 września, jako w dniu popełnienia zbrodni. Bolesława Krajewskiego na 12 lat ciężkiego więzienia z postem co miesiąc i ciemnicą w rocznicę popełnienia zbrodni, i wydalenie po odsiedzeniu kary z granic Austryi. Jana zaś Swierczyńskiego uwolniono w zupełności od winy i kary. I wreszcie Jana Godulę na 4 tygodnie zwykłego aresztu.

Zdaje się jednak, że wyroki śmierci będą drogą łaski monarszej zamienione na 20-letnie więzienie.

Z operetki albańskiej.

Offenbach, gdyby obecnie żył, toby miał dopiero „używanie“ ze świeżo upieczonem „państwem“ albańskiem i jego również świeżo upieczonym władcą. Zupełna to operetka. Książę Wied jechał — nie jechał — zajechał wreszcie do Albanii. Księżna Wied żywi się tylko sałatą. „Poddani“ słyszeć o niej z początku nie chcą, albowiem przyzwyczajeni są wyłącznie do — baraniny. Zresztą, nie bardzo wiedzą, co to jest państwo i król; później dopiero wykrywają, że to właściwie staro-albański „mbret“. Wreszcie, rozentuzyazmowani perspektywą, że „mbret“ każdemu Albańczykowi da dziesięć baranów, parę butów, fajkę i t. p. utensylia, oraz będzie żywić dożywotnio jego żonę, dzieci, babkę, teściowę i t. d. zgadza się na „mbreta“, czarnego orła w czerwonem polu i t. d. I mamy Albanię — państwo, jak się patrzy.



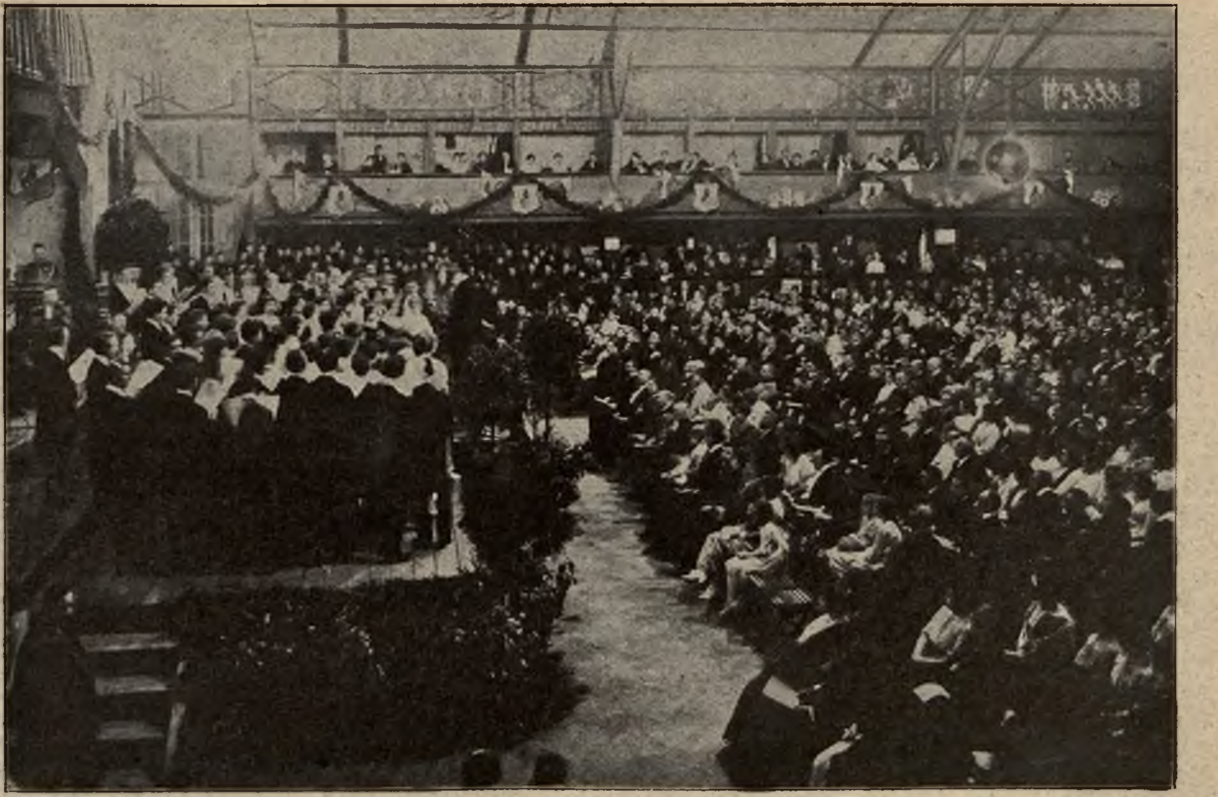
Skazanie morderców ś. p. Swiszczowskiego: Na ogłoszenie wyroku tłumy oczekiwały przed sądem do godz. 2-ej w nocy.

Obecnie zaczął się akt drugi operetki — sielankowy. Essad pasza i cały dziesiątek notorycznych łotrzyków, którzy jeszcze nie tak dawno grabili, palili i mordowali — stają się ministrami i mężami stanu. Książę Wied wjeżdża do swej nowej dziedziny, witany „z zapałem" przez ludność, a strzeżony pilnie przez armaty floty międzynarodowej i karabiny żandarmeryi. Następuje nowa serya światowo-ważnych wypadków: ks. Wied wstępuje na ziemię albańską ks. Wied idzie do meczetu, ks. Wied z małżonką poraz pierwszy występuje publicznie, księstwo Wied z balkonu pozdrawiają mieszkańców Durazzo i t. d.

Nasze illustracye przedstawiają właśnie dwa ostatnie wiekopomne wypadki, aby i nasi Czytelnicy po za biegiem wydarzeń „światowej polityki" w tyle nie pozostali.

Ku czci Szewczenki.

W bieżącym miesiącu społeczeństwo ruskie obchodziło uroczyście setną rocznicę urodzin pierwszego i zarazem dotąd największego poety Ukrainy, Tarasa Szewczenki (ur. 9 marca 1814, zmarł 10 marca 1861 roku). Uroczystości te skoncentrowały się przedewszystkiem we Lwowie, gdzie obok szeregu nabożeństw, odczytów w różnych towarzystwach ruskich, oraz wielkiego obchodu połączonego z koncertem w ogromnej sali „pałacu sportowego" przy ul. Zielonej — uroczystość manifestowano także na zewnątrz przez wywieszenie chorągwi z domów ruskich i ozdobienie okien nalepkami. Oprócz tego uroczystości Szewczenki uczczono specyalnymi obchodami we wszystkich gimnazyach ruskich Galicyi.



Ku czci Szewczenki: Obchód setnej rocznicy urodzin Szewczenki w Pałacu sportowym we Lwowie.



Ku czci Szewczenki: Obchód setnej rocznicy urodzin Szewczenki w Pałacu sportowym we Lwowie.

Dwie illustracye nasze przedstawiają dwa zdjęcia z obchodu w „pałacu sportowym" we Lwowie, gdzie zebrali się posłowie ukraińscy, reprezentanci towarzystw ruskich z całego kraju, dygnitarze duchowieństwa, profesorowie uniwersytetu i tłumy publiczności ze Lwowa i z prowincyi. Trzecia illustracya przedstawia grupę uczniów ruskiego gimnazyum w Przemyślu z profesorami i dyrektorem.

Tak tedy skromny, ludowy pieśniarz doczekał się zaszczytów, o których za życia, napewno nie marzył. Urodzony jako syn niewolnego chłopa, Szewczenko przeżył dzieciństwo pełne gorzkich łez i niedoli i takąż młodość. Był „kozaczkiem" pokojowym swego pana, właściciela wsi Kiryłówki w gub. kijowskiej, gdzie Szewczenko, poraz pierwszy ujrzał światło dzienne. Dopiero gdy ujawnił się w nim talent malarski, pan jego oddał go do nauki do malarza Szyrajewa w Petersburgu. Tam zwrócili na niego uwagę profesorowie i mecenasi sztuki, umożliwili wstąpienie do Akademii Sztuk Pięknych i wykupili z poddaństwa. Obudził się też w nim wtedy talent poetycki. W r. 1840 ukazał się pierwszy zbiór poezyj Szewczenki p. t. „Kobzar", zawierający piosenki snute na nutę ludową. Za „Kobzarem" poszły poematy „Tarasowa noc" i „Hajdamaki" oraz „Dumki". Na Ukrainie, dokąd udał się Szewczenko po ukończeniu Akademii, napisał on jeszcze poematy „Jan Hus" i „Kaukaz". Ten ostatni poemat naraził go na smutne koleje, przymusową służbę w wojsku i pobyt na stepach Orenburskich. Po 10 latach powrócił Szewczenko do Petersburga już jako starzec prawie, a w r. 1859 odwiedził siostrę swoją na Ukrainie, którą widział wtedy po raz ostatni. Zmarł w r. 1861. Zwłoki jego przewieziono na Ukrainę i pochowano nad brzegiem Dniepru, w okolicy Kaniowa na stepie, (olbrzymia usypana mogiła wskazuje to miejsce).

Kraków w świetle elektrycznem.

Modernizacya Krakowa postępuje szybkiem tempem, wraz z jego wzrostem. Kraków „Wielki" chce za wszelką cenę wyglądać po europejsku. Zaczyna zaś, słusznie, przystrajanie się modne od twarzy t. j. od przepięknego Rynku krakowskiego.

Gdzie to dawne czasy, wcale zresztą piękne, kiedy temu placowi i jego gmachom o wspaniałej architekturze wystarczał romantyczny blask księżyca? Pod arkadami Sukiennic mroczne cienie kryły wówczas niejedną parę zakochanych i dobrze im się tam działo, bo ciekawemu oku nie łatwo było te mroki przeniknąć. Teraz zamało już Rynkowi krakowskiemu nawet zielonawego światła gazu — jaskrawe lampy elektryczne rozjaśniły go tak, że szpilka się nie ukryje, a nie tylko para zakochanych. Przy blasku elektryczności na linii A-B podczas zwykłego wieczornego „ciągu" nadobnych krakowianek można tylko dobierać sobie parę, — dobrawszy jednak, zmykać coprędzej na planty lub w boczne ulice, elektrycznością jeszcze nie nawiedzone...

Co do tego, czy elektryczność dodała wdzięku Rynkowi krakowskiemu, czy nie — zdania są podzielone. Esteci z 11-stu towarzystw kulturalnych z goryczą wskazują na słupy latarniane, twierdząc, że są podobne do szubienic, — utylitaryści roztropnie zapytują: jakże je było zawiesić — czy na sznurkach z nieba? Naszem zadaniem jest tylko wskazać czytelnikom, jak wygląda Kraków w świetle elektrycznem, co też w niniejszej illustracyi czynimy.



Ku czci Szewczenki: Dom im. Szewczenki we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Z operetki albańskiej: Para królewska ukazuje się tłumom na balkonie.



Kraków w świetle elektrycznem: Widok Rynku w nocy z wieży Maryackiej.



Z operetki albańskiej: Książę Wied stawia pierwszy krok na ziemi swego państwa.

J. POWALSKI.

„SZTANDARY” KSIĘCIA JÓZEFA.

12

— Jak on nie chce, — odszepnęła córka nadąsana.

— Tobie się ten drugi spodobał?

— Mnie wszystko jedno. I ten miły i ten.

— Ale tego trzeba zatrzymać. Uchowaj Boże napadu...

— Ja umiem strzelać dobrze, — odrzekła córka rezolutnie.

— Zawsze go poproś. On tobie łatwiej...

Dziewczyna zaśmiała się cicho, uradowana i pewna powodzenia.

Było jej nieskończenie miło, że na tem odludziu, w tem życiu wyczekującem ciągle ze strachem czegoś złego, spadło nagle jak z nieba takie towarzystwo, takie zajęcie.

Czuła w sobie od dawna taką prężność, taką siłę, sprawność, udatność, taką zdolność do powodzenia. Snuła czasami i w tej pustce fantazye, że jest wieszczką, wróżką, czarodziejką tu ukrytą, że zdąża do niej wielu rycerzy, jeden po drugim, ale ona przybywających zamienia to w dzikiego gołębia to w borsuka leśnego, to w dzięcioła, w niedźwiedzia... są i niema ich... Albo że jest smokiem, któremu prowadzą ofiary, a ona je odtrąca, odtrąca, jak zła a przecudowna królowa.

Wtem przyszło prawdziwych dwu rycerzy i cały świat sprawdziwiał.

Jak od czarodziejskiego zaklęcia stała się gospodarną, wesołą, posłuszną, spokojną, odleciały ją fantazye i grymasy. W każdym szczególe tkwiła teraz wesołość, zadowolenie.

Bardzo jej się podobał Ignacy: oczy takie śmiałe, ciemno stalowe, włosy kędzierzawe, ciemne, nad czołem sklepionem jak kolumna, twarz choć zmężniała ale tak żywa, młoda, z puchem brody ledwie się znaczącym na przegubie owalu policzków, łączących się z młodą szyją.

Bromirski jej zaimponował. Wzruszały ją do ostatniej głębi spojrzenia Ignacego. Słabło w niej coś, wzdrygało się. Ale Bromirski przejmował ją czcią, przypominał niewyraźnie ojca, wzbudzał bezwzględną uległość, poddanie.

Rozkwitła natychmiast w tej nowej atmosferze, jak kwiat w nagłem gorącu wiosennem.

Matka poszła do kuchni. Córka zawróciła ochoczo: miałaby ochotę śpiewać, podlecieć, tak się czuła szczęśliwą.

Nim doszła drzwi, otworzyły się same, Ignacy wyszedł z izby do sieni.

Natychmiast przedsięwzięła z nim ważną rozmowę:

— Waćpan naprawdę nie chcesz zostać? To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Waćpan zostaniesz.

— Pannie Konstancyi to i tak wszystko jedno, — powiedział spuszczając głowę, cichym ze wzruszenia głosem.

Milczeli oboje, Ignacy słuchając tak, że aż zagłuszał go szum własnej krwi w tętnach. W końcu szepnęła:

— Skąd waćpan wiesz.

To go uderzyło jak piorun w naprężeniu oczekiwania. Począł bąkać niewyraźne słowa, oczy zamgliły mu się, oddech przyspieszył. Sięgnął po jej ręce, wziął, tulił, całował, szepcząc do nich.

Ona od pierwszych, gorących pocałunków na ręku, doznała nagłej i najzupełniej nowej przemiany. Zesłabło coś w niej tak, że się oparła machinalnie o ścianę. Oblało ją gorąco jak war. Nie myślała się bronić, cofać rąk; myślą nagle ospałą i znieruchomioną na jednem, usiłowała niedołężnie uchwycić co się stało, co było w tem niepojętem nowem, które ją przejęło na wskroś. Nie czuła przez chwilę, że on ją wciąż całuje. Ale nagle jakby gruba mgła rozdzieliła się i rozproszyła ta chwilowa obojętność na wszystko, przytomność wróciła z tego zapadnięcia się w badanie.

Od nowonabytego poznania zarumieniła się, rozjaśniła, zmieszała zarazem, wyrwała nagle ręce, skrzyżowała je i zacisnęła na piersiach.

Ignacy wyprostował się jak oderwany od źródła, jak ze snu. Patrzył na nią wilgotnymi oczyma. Był w tem akt uwielbienia i oddania się.

Wzruszyło to ją jak pierwej, tak że nie mogła zrazu się odezwać. Starannie kryła przed nim to wzruszenie. Po chwili dopiero, głosem zupełnie już pewnym, rzekła:

— Nie można.

— Pani nie wiesz, jak ciebie kocham. Więcej niż wszystko na świecie.

— Cicho, cicho, mama przyjdzie.

— Więcej niż wszystko, — powtarzał, zniżając głos i wyciągając znów ręce. — Nic mi wszystko. Nic. Tylko ty jedna.

— Cicho, cicho! — szeptała, opierając się o ścianę.

Przysunął się spiesznie. Objął, ostrożnie, by mogła tego nie czuć. Przycisnął do siebie z całej siły.

— Ja ci powiem, jak jest, — szeptał. — Tak ciebie kocham, tak jak...

Sień była ciemna, i stali schowani między ułożonymi wysoko palanami a wiszącymi kożuchami.

Dziewczyna wyrwała się, odstąpiła.

— Jak można! — szeptała. — Waćpan nic nie pytasz...

Przygładzała sobie szybko włosy, podniósłszy nad głową ręce. Zaokrąglone w powietrzu ramiona usmukliły ją jeszcze, jakby miała odlecieć. Była blada i twarz jej mieniła się i nikła w cieniu, szczupłała i malała od ciemnych cieni włosów, oczu, ust, szyi. Oczy błyskały jasno, jakby łowiły w siebie wszystkie blaski dnia, zbłąkane tu przez szpary drzwi i progów. Wydała się Ignacemu nadludzko piękną, zaczarowaną w jakiś nowy zupełnie sposób.

Opuściła ręce, i cofając się jeszcze, szepnęła:

— Ja już nigdy nie będę mogła na waćpana spojrzeć. Ani mówić.

— Ach nie! — prosząco zawołał Ignacy.

— Cicho, cicho! Ale powiedz waćpan, że zostaniesz.

Ignacy znieruchomiał. Bał się zacząć mówić, aby nie przerwała mu gniewnie.

— Ja panią kocham — rzekł wreszcie. — Ja nie wiem zupełnie jak mi jest, od czasu jak panią zobaczyłem...

— Cicho... kto widział, tak głośno...

— Taką cudowną, taką prześliczną, jak pani na mnie spojrzała pierwszy raz...

— A wiesz waćpan, że to ja zmusiłam Telesfora, żeby was zabrał do izby, jakeście na ganku sobie siedli jak dwa upiory... Mama bała się, a Telesfor za nic nie chciał. Ale ja powiedziałam, że jeśli tak, to ja sama pójdę... wtedy on już poszedł. Widzisz. A teraz chcesz odchodzić, choć ja cię proszę...

Ignacy uczuł zimno ogarniające go i ścinające, dławiące jak rozpacz. Co jej powiedzieć? Jak jej powiedzieć!

— Nie chcę odejść, — zaczął wreszcie gorącym szeptem, przysuwając się ku niej. — Największą moją chęcią i szczęściem byłoby na zawsze zostać z tobą, i mieć za przyjaciela, na zawsze.

Objął ją, i słuchała go, czując akcent z głębi serca wydobyty.

— Jeśli zgodzisz się i zechcesz... — umilkł, ale ona nie odpowiedziała tego, co myślał.

— Ale teraz muszę pójść, muszę... — zaczął znów

— Jakto? — zawołała niespodzianie głośno, i odsuwając się.

Przez tych chwil kilka rozmowy wzruszona nadzwyczajnie, zdała się już na los, łączący ją z Ignacym. Nie przemyślane jeszcze, ale wyraźne obrazy wyprawy, ślubu, wyjazdu w świat nieznany, pojawiły się rojem w jej żywej fantazyi. A przedtem jeszcze bliższe i wyraźniejsze zdarzenia domowe: uwiadomienie matki, zmieniony całkiem tryb życia, coś ciekawego, nowego... Ciepło jakieś, tkliwość i wdzięczność wstawały w niej i przejmowały ją rozkosznie.

— Waćpan chcesz odejść? — zapytała urywającym się głosem.

— Jestem w wojsku, jestem oficerem...

— Przecież niema już tego wojska!

— Francuskiego niema, ale nasze trzyma się, kadry są... Przecież to służba ojczyźnie.

— Tak, — rzekła bezbarwnie.

— Pójdę z nimi do Warszawy, tam wezmę urlop i wrócę natychmiast...

— Tak! — zawołała, wybuchając nagle płaczem. — Wrócisz! A nas tu tymczasem kozacy czy Francuzi zabiją i zhańbią, spalą i tylko na zgliszcza przyjedziesz!

— Nie mów, nie mów! — rzekł Ignacy, przecierając czoło. — Nie mogę, żeby nie wiem co się ze mną działo. Ja ci powiem, jak to jest, ty to ujrzysz tak, jak ja to widzę: to jest służba ojczyźnie. Już mniejsza honor wojskowy. Widzisz, co ja mówię? Moje usta dziwią się, że takie słowa złożyły i musiały. Ale ojczyźnie... cofnąć się ojczyźnie...

— Bez ciebie jednego... Czy jeden człowiek tyle znaczy? — spytała, ocierając łzy i nabierając znów nadziei, a z nią energii.

Ignacy stał się jej teraz tak drogi, tak nieodzowny, tak potrzebny. Przedewszystkiem zaczął się jej podobać w nowy, nadzwyczajny sposób. Było w nim coś niezłomnego, coś, co ją odtrącało.

— Może nic nie znaczy, nie wiem, — powiedział. — Ale musi być na swojem miejscu... Muszę, muszę... Ja sam myślałem zostać...

— A widzisz! — przerwała, uśmiechając się cała.

— Ach, ale nie mogę! Jestem jak na uwięzi, na tej ochocie zostania, na tem szczęściu... Ale muszę pójść, muszę...

Ona umilkła, złamana już, opuściła się, zwiesiła głowę. Ale szukała jeszcze słów.

— Jak pójdziesz, to czy ja wiem? Czy ja wiem, — zaczęła. — Ja może wtedy przestanę waćpana woleć...

Ból ukłół go w samo serce. Pobladł i podniósł głowę. Zauważyła wrażenie i upewnionym głosem mówiła mu dalej:

— Waćpan nie wiesz... może to i źle, że ja ci to mówię. Ale taka już jestem, wychowałam się w lesie. Chcę oddać swoje serce, bo za ciężko mi je nosić puste. Muszę je dać. Chciałam dać tobie, ale jak odchodzisz, to cóż?

— Wrócę!

— Ale jak odchodzisz, — powtórzyła, pomijając jego okrzyk, — to dam je komu innemu. Dam je panu Bromirskiemu. I on służył ojczyźnie walecznie, a gorzej jeszcze na tem wyszedł, niż waćpan. On tu u nas zostanie, będę go pielęgnować. Wróci do zdrowia...

Ignacy spuścił głowę i milczał. Ból go zjadał, żarł, piszczał w nim, wrzeszczał, zalewał mu głowę, jakby pożogą ognistą. Co słowo, to cios, coraz inny. Co słowo, to ból bez ratunku, wbijający się, szarpiący wnętrzności, to trujący jak jad. Milczał, milczał, nieruchomy.

— Pójdziesz? — spytała.

Podniósł na nią oczy bezmyślne i odpowiedział znędzniałym głosem:

— Pójdę!

Drzwi od kuchni otworzyły się szeroko. Weszła zielona szata i tragiczna maska matki.

— Mamo! — zawołała pewnym głosem córka, — pan Kleszewski idzie dziś dalej. Trzeba mu przygotować coś na drogę, prawda. Może mama mi da klucze...

— Idzie? — zawołała matka z żalem. — A już myślałam...

Wtem spostrzegła go i zagadała do niego ze staruszkowatym gniewem:

— Et, co to z wami gadać! Mój syn, myślisz, mądrzejszy był? Wszyscy głupi. Niby to ich trzeba. Właśnie jego koniecznie potrzebują.

Nagle sobie przerwała.

— Ale to nie do waćpana mówię. Chcesz iść, no, cóż robić. Tak idź.

Odeszły.

Ignacy wyszedł przed dom, oparł się o płot i stał tak, w bladem i cichem słońcu zimowem, które rozlało się za zachodnim gąszczem lasu kałużą żółtą w szarych chmurach.

Potem wrócił do izby, gdzie mieszkał.

Bromirski obrócił się ku niemu.

— Cóż? — spytał. — Jak tam na dworze?

— Szaro, — rzekł Ignacy, który wziął swą pałkę i opatrywał ją.

— Idę, — dodał po chwili. — Nie wiem, czy się jeszcze kiedy spotkamy.

— Napewno! — powiedział Bromirski żywiej i przyjaźniej. — Winienem ci tyle, co może nikomu. Przyjdźże, niech cię pożegnam. W każdym razie winienem ci życie. Niby to nie wiele warte, ale przecie.

Ignacy stanął przy tapczanie.

Bromirski podał mu rękę i ściskając silnie, rzekł:

— Tę wdzięczność to mi umila, że nie byle oficerkowi ją winienem, tylko człowiekowi mężnemu. Nieś do wojska naszego moje życzenia w twojem sercu. W dobre miejsce je składam.

Ignacy czuł mróz na twarzy.

— Pobladłeś, jeszcześ nie odpoczął, — rzekł Bromirski. — Ale cię nie namawiam do spoczynku dłuższego. Czegóż ty bledniesz? Cóż ci to, przyjacielu? Cóż ci to?

— Żegnaj, kolego — powiedział Ignacy z trudem.

— Żegnaj, przyjacielu.

Ścisnęli sobie mocno ręce. Ignacy wyszedł. Szedł, jak stał, na dziedziniec, ze swą laską w ręku. Zatrzymała go stara jejmość.

— Czekajże, a czekajże! Cóż waćpan myślisz, że wbrew mej chęci odchodzisz, to już cię po ludzku nie odprawię? Masz tu dla ciebie i kożuch i buty... stare, ale jakie już są...

Ubrał się, nic nie mówiąc.

— Tu tobołek z jedzeniem... Nie wiele tego, ale ile można, to i daję...

Zaczął krztusić słowa podziękowania. W myśli błagał i modlił się, by jeszcze nim odejdzie otworzyły się drzwi które, i wyszła z nich panna Konstancya. Albo żeby choć uchyliły się i żeby ją ujrzał. Żeby choć jej suknię. Żeby choć cień przez nią rzucony, najdroższy na świecie.

Ale drzwi żadne nie drgnęły, a w nim umierały myśli z żalu. Myślał, że mu zamierzchną oczy, jeśli odejdą, nie dotknąwszy jej.

Ale wszystko było nieruchome. Tylko stara jejmość odpowiadała mu:

— Nie dziękuj, nie dziękuj. To dla wszystkich przecież się robi. Zabiera dzieci — ot! Były i niema. I mój syn był jak ty.

Gadała, mówiła. Nie słyszał. Odszedł, i nie ujrzał jej. Poszedł, i serce w nim się darło na strzępy, a krew kapała, kapała, a może łzy.

XIII.

Wyszedł na trakt i zobaczywszy trupy pod śniegiem i szkielety koni, porzucone wozy i czarny, het wiodący szlak śniegowej grudy, poznał, że idzie dobrze.

Chmary wron, kruków, zrywały się na tej drodze, gdy szedł.

Niebo czerwieniło się na zachodzie i pozłacało delikatnie śnieżne wypukłości łanów i pól. Jasność tonęła w siności mroku pełznącej od lasów, zewsząd zamykających widnokrąg. Jeszcze raz, zapadając w oponę mgieł, zabłysło słońce skośnymi pasmami złotego światła, i zatopiło się na nocny spoczynek.

Rój wron porwał się przed Ignacym, kracząc hałaśliwie, i pociągnął czarnym tumanem za słońcem. Inne przyłączały się do nich po drodze i krakanie ich malało i malało w martwiejącem powietrzu.

Tym było łatwo dogonić daleko gdzieś wlokące się tą samą drogą wojska. Ale nie pieszemu wędrowcowi po ciężkiej grudzie.

Zamyślał iść całą noc pilnie, i miał nadzieję, że w takim razie może dogonić armię. Trakt szedł prosto jak strzała, przez równinę ledwie gdzienie gdzie falistą. Zbłądzić było niepodobna.

Okolica wydawała się pusta, bez żywej duszy. Tylko on sam, niknący w ogromie płaszczyzny, poruszał się drogą naprzód, ze ślimaczą powolnością wobec długości drogi, wobec szerokości pól. Spojrzenie przemierzy drogę jak jaskółka szybko, ale kroki się robią wedle innego prawa. Zresztą Ignacy nie patrzył, nie myślał. Zajmowała go jedynie gruda, na którą trzeba było uważać, bo każde potknięcie było bolesne.

Dopiero gdy się stało ciemno, gdy musiał iść jak popadło, i zgrzał się od chodu, przystanął, by wytchnąć.

Spojrzał wokół, i ujrzał niebo wyiskrzone mrugającemi gwiazdami. Zapatrzył się na nie, i obrócił wolno wstecz, ku wschodowi, który zostawił za sobą. Tam mleczna droga dotykała widnokręgu i w jej mgle świetlistej płonęły wspaniałe gwiazdy konstelacyi Orjona.

Wydały mu się częścią piękności owego świata, który opuścił dalszą przynależnością tego rytuału, tego porządku rzeczy, który usiłował zrozumieć w ruchach, w głosie, w oczach tej, która tam była i jest.

Tam płonęły gwiazdy najpiękniej; ku tej stronie, jak łzy blasku, ciężyły groniaste ognie Aldebarana, Plejad, Bliźniąt. Niebo tam było cudowne, obce i rozjaśnione tajemnicami gwiazd płomienistych i zimnych.

Bolały go oczy, gdy to widział, a oddech ustawał, jak przywalony górą. Odwrócił się i powoli począł stawiać dalsze kroki na zachód.

Tu błyszczał niewyraźnie w chmurach Orzeł, wyżej mrugała Lutnia ze wspaniałą Wegą, Delfin jak jasny ogród skupionych ciasno gwiazd.

Ale Ignacy brnął, nie patrząc, a myśli jego wszystkie zastygły w powrotnej drodze ku temu, co było jeszcze dziś rano i skończyło się.

Szedł jeszcze, jak nieobecny, gdy podniósłszy głowę ujrzał wyraźną, choć słabiutką, różową łunę, rozciągniętą tuż tuż nad ziemią na widnokręgu, nieco na prawo.

Przystanąwszy, rozważał. Mogło to być równie dobrze wojsko francuskie jak i nieprzyjacielskie.

Nie chciało mu się zbaczać z drogi i ruszył znów przed siebie.

Po niejakim czasie trakt wyraźnie skręcił w prawo. Wówczas pomyślał, że łuna może jednak pochodzi od armii francuskiej, i przyspieszył kroku. Długi marsz po mrozie bowiem, mimo że o tem nie myślał, zjadł już sporo z tych sił, z któremi wyruszył.

Tymczasem zawinąwszy szeroki łuk w prawo, trakt skręcił silnie w lewo. Wobec tego Ignacy poznał, że blask nie oznaczał obozowiska wielkiej armii. Zdjął z niego oczy, które poszły w ciemność pól przed siebie. Różowa łuna została na prawo i nadzieja dosięgnięcia bratniej armii odsunęła się w głuche mroki nocne, gdzieś indziej.

Rano szedł jeszcze i myślał, że już jednak upadnie i zostanie. Ale szedł.

Nadpędziły jakieś sanki, stanęły. Poczęto na niego wołać i kląć po polsku i po francusku.

Stanął i obrócił się.

Ujrzał sanie wielkie i wypakowane, zaprzężone w parę dobrych koni, a w nich czterech ludzi. Pytali go o drogę.



Przycisnął do siebie z całej siły.

Gdy patrzył na nich, starając się rozpoznać, nagle jeden wyskoczył z sani i podbiegł do niego.

— Kleszewski? Daję słowo, Kleszewski! Patrzcie! Ignaś!

Ignacy poznał Jasia Zakrzewskiego.

— Aha, to ty? — rzekł, uśmiechając się szeroko. — Szklą mi się tak oczy od mrozu, żebym cię nie poznał.

Jaś go ciągnął do sanek. Przedstawił go towarzystwu. Był tam jeden z amputowaną nogą i dwu oficerów od ułanów, których pułki się rozsypały z braku koni.

Wsadzili go, okryli się znów i obetkali jakimiś kożuchami, czy skórami i popędzili dalej.

Sanki niosły jak ramiona piastunki. Ignacy z ulgą nieskończoną uczuł spadający z ramion ciężar troski o dogonienie wojska i o odpoczynek.

Jadący tymczasem gadali i gadali. Wśród gwizdu, stukotu i płaczu płóz po zmarzłym śniegu słyszał ich słowa niewyraźne i pomieszane. Jaś mu opowiadał z życiem, jak został raniony dwa razy, i jak wskutek tego nabrał prawa do odłączenia się i zaraz wyszukał sobie te sanki i konie, i teraz sypie prosto do Wilna.

— Pojedziemy na Mołodeczno, — mówił mu z zapałem. — Żywności mam huk, pod siedzeniem, krupy i słonina i coś wędzonego, mówię ci... no!

— I wódy flachę, — rzekł grubym basem oficer amputowany, który zajmował miejsce honorowe na siedzeniu.

Ignacy przyjrzał się srogim wiechom jego ryżych wąsów, na których zamarzała para z oddechu. Głowę miał okręconą i obwiązaną grubą, wełnianą chustką, co mu dawało pozór maskaradowy baby z wąsami, czerwonym nosem i z marsem nastrzępionych brwi, z pod których jasne oczy patrzyły z niezmąconą powagą. Przypominał go sobie z którejś bitwy po wyruszeniu z Moskwy.

Jaś tymczasem dopytywał go o jego losy.

— Ech! — rzekł Ignacy, — kula rozerwała podemną konia, a moja kompania z działami pomknęła i odtąd nie wiem, co się z nią dzieje. Lezę za nimi i tyle.

Jaś pytał go jeszcze, ale Ignacego tak morzyło zmęczenie i sen, że ledwie mu odpowiadał, aż wreszcie przyjaciel dał mu spokój i Ignacy obsunął się w ślepe i głuche sny, kołysany przyjemnym pędem sani.

Ocknął się na południe, gdy stanęli w jakiejś wsi. Coś zjedli, wypili i pojechali dalej. Na zmrok zjechali do miasteczka. Tu Ignacy rozbudził się na dobre. Zobaczył, że znajdują się w głównym roju armii. Ludzie wyglądali przeważnie jak zbiry, ale trzymali się gęsto, w oddziałach, mieli chorągwie. Trafiały się też wojskowe białe ładownice, na krzyż przewieszone przez piersi i plecy, mundury, kaski i bermyce na głowach.

Stanęli w natłoku i Jaś wyruszył pieszo na poszukiwanie kwatery. Czekali bardzo długo, a tymczasem ściemniało się szybko.

Ignacy obserwował z pod oka, o ile większy ład zachowuje to wojsko, niż owe kupy maruderów w ogonie armii.

Tu nie palono domów, najmowano mieszkania, liczono się z mieszkańcami, kupowano u nich żywność. Przynajmniej były pozory liczenia się i jakiejś takiej przyzwoitości, nie uważano rabunku i gwałtu za najpospolitszy porządek rzeczy.

Jaś powrócił bardzo ożywiony. Stanął w sankach i sam wziął lejce. Ruszyli noga za nogą przed siebie. Jaś powożąc opowiadał:

— Spotkałem Sendka, jest tu cały nasz pułk. To znaczy Płonczyński, kapitan, dowodzi, bo innych wszystkich niema, ani jednego wyższego. Idę, wtem mnie ktoś łapie: patrzę, Sendek. Głodny jak pies i czeka na nasze krupy i wódkę. Aż się oblizał. Powiedział, że idzie z pułkiem i myśleli, że mnie już kozacy ze skury obłupili, albo wilki zjadły. Z całego pułku może tysiąc ludzi zostało.

— Działa mają? — spytał Ignacy.

— Mają. Ale, to zuchy! Otóż teraz widać dopiero, co to za pułk. Wogóle, najprzedniejszy. Zawszem to mówił.

— I jazda u Dąbrowskiego w dywizyi się trzyma, — potwierdził któryś. — Gdzieindziej dawno ją dyabli wzięli.

Stanęli. Rzucili się na ich powitanie różni dawno znani koledzy. Obskoczyli sanie, krzycząc, pytając.

Okazało się, że na nocleg zajęli ogromną jakąś szopę. Rozłożono w niej ognie, pilnie uważając, by nie padły iskry na ściany, czy pod strzechę, która zresztą świeciła wielkiemi dziurami, do których skierowywał się kłębiasty dym z ognisk. Wokół każdego z ogni skupiali się ludzie.

Honory domu robił kapitan Sendek. Powitawszy już przybyłych, witał teraz entuzyastycznie wiktuały, które przywieźli.

Był to ogromny, żelazny chłop, dawny kirasyer pruski, bardzo waleczny i silny jak byk. Robił taki hałas i taki ruch, że przyciągnął tłum ciekawych. Miotał się, przygotowując wieczerzę, jak dyabeł.

— Tak, — wołał, — tak, bracia! Kaszę do wody. Jest woda? Leć który... Rosołek, chwacko, biegaj i nabierz! Co, w ten mały saganek? Bałwanie, bierz wszystkie. I ty, Mędraś, nuże bracie! Pomóż mu! Cóżto, może myślicie, że nie liźniecie nic? Nie bój się, będzie i dla was. Dla wszystkich, nuże!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Milion koron na skaut polski.

Zgasły niedawno tragicznie w kwiecie wieku dr. Alfred Burzyński, o którego zgonie w ostatnim numerze donosiliśmy, pozostawił królewski dar Sokołowi polskiemu, zapisując cały swój majątek na kolonie skautowe. Powziąwszy widać postanowienie własnowolnego rozstania się z życiem, sporządził dnia 5 lutego b. r. ś. p. Burzyński testament, w którym zapisał skautowi posiadane przez się kamienice



Milion koron na skaut polski: Dom przy ulicy Ormiańskiej we Lwowie, zapisany przez ś. p dra Burzyńskiego na fundusz kolonii skautowych.

we Lwowie: jedną przy ul. Słowackiego pod l. 18 i drugą przy ul. Ormiańskiej pod l. 22, a nadto wszystkie znajdujące się w nich antyki i dzieła sztuki przekazał muzeum narodowemu na Wawelu. W tych dniach testament ten otworzono i wdrożono postępowanie spadkowe. Zapisodawca zastrzegł tylko dożywotnią rentę w kwocie 8.000 koron matce swej i dwom siostrom, fundusz zaś z odsetek ma stanowić na razie kapitał żelazny kolonij. Po wygaśnięciu obowiązku wypłacania rent domy te mogą być



Milion koron na skaut polski: Dom przy ulicy Słowackiego we Lwowie, zapisany przez ś. p. dra Burzyńskiego na fundusz kolonii skautowych. (Fot. M. Münz, Lwów).

sprzedane i ze skapitalizowanym z dochodów od nich funduszem utworzą sumę miliona koron, którą ofiarodawca przeznaczył na kupno szeregu obszarów pięciomorgowych dla kolonij skautowych, gdzie młodzież szkolna spędzać będzie wakacye, na życiu obozowem. Wykonawcami zapisu mianował ś. p. dr. Burzyński zarząd Sokoła macierzy i komitet z biskupem Bandurskim na czele. Piękny to zapis dla młodzieży naszej i jej wychowania fizycznego. Doniosłość tej kwestyi, wzmocnienia sił żywotnych, energii i tężyzny myśli oraz ciała zrozumiał ś. p. dr. Burzyński. Dał temu wyraz swą hojną ofiarą — niestety czyn ten łączy się z bolesnym ciosem, jaki nam swą śmiercią zadał.

Nasza illustracya przedstawia obydwa domy zapisane przez ś. p. dra Burzyńskiego.

Popis „Drużyny Śpiewackiej".

Ruchliwe Towarzystwo handlowców warszawskich obchodziło dn. 8 b. m. domowe święto — doroczny popis swej „Drużyny śpiewackiej". Drużyna jest benjaminkiem towarzystwa, a cieszy się w świecie artystycznym Warszawy opinią zespołu doskonale wyrobionego i poważnie uprawiającego sztukę śpiewu chóralnego. Zasługa to w znacznej mierze utalentowanego dyrygenta „Drużyny" p. Otto, którego praca, na tak wdzięcznej niwie, bo „Drużyna" wielu dobrych i muzykalnych posiada śpiewaków— sprawiła, że chór ten do najlepszych w Warszawie należy. Odbyty koncert wykazał właśnie te wszystkie walory artystyczne i wokalne chóru, jakie mu wybitne zjednały stanowisko, produkcya zaś jego uświetniona występem solistów zdobyła zupełny sukces.

Nasza illustracya przedstawia „Drużynę" z dyr. Otto w pośrodku.

Z kolei warszawsko-wiedeńskiej na Syberyę.

Dawny personal na upaństwowionej kolei warszawsko-wiedeńskiej wciąż się zmniejsza. Z nielicznej już garstki dawnych naczelników wydziałów i szefów biur ubył znów w tych dniach inżynier Jaskulski, naczelnik jednego z oddziałów, przeniesiony z Warszawy aż na kolej syberyjską.



Popis „Drużyny Śpiewackiej": Członkowie „Drużyny śpiewackiej" Tow. pracowników handlowych m. Warszawy z dyrektorem p. Otto (X) w pośrodku.



Z kolei warszawsko-wiedeńskiej na Syberyę: Inżynier Jaskulski, przeniesiony z Warszawy na kolej syberyjską, w gronie swych najbliższych towarzyszów pracy.

Illustracya nasza przedstawia inż. Jaskulskiego w gronie najbliższych towarzyszów pracy, którzy żegnali lubianego przełożonego, udającego się na azyatycką placówkę.

Zgon wybitnego lekarza-obywatela.

Podwójnie bolesnym ciosem i olbrzymią stratą jest zgon wybitnej jednostki dla społeczeństwa, które wskutek warunków zewnętrznych zmuszone jest opierać się tylko na sobie samem. Strata jednego z ludzi przodowych, ludzi większych horyzontów i szerokiej inicytatywy obywatelskiej, to klęska, zwłaszcza, gdy placówka osierocona zostaje... bez następcy, bo pokolenie „idące“ niestety mało wyłania z siebie jednostek wybitnych. W tych dniach znów postradało społeczeństwo Królestwa nieprzeciętnego lekarza obywatela, ś. p. dr. Henryka Dobrzyckiego, działacza społecznego i miłośnika oraz propagatora muzyki polskiej. Ś. p. dr. Dobrzycki należał do popularnych osobistości Warszawy, powszechnie znany i lubiany jako lekarz-uczony specyalista oraz mecenas sztuk pięknych, głównie plastycznych, którym w młodości zamierzał się nawet poświęcić. Urodzony w Kaliszu w r. 1843, jako młodzieniaszek wstąpił do szkoły warszawskiej sztuk pięknych, po niedługim jednak czasie przeniósł się do wiedzy lekarskiej, zapisując się do akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie. Po ukończeniu następnie medycyny na uniwersytecie we Wrocławiu objął w r. 1866 stanowisko lekarza szpitala w Mieni, gdzie założył pierwszą w Królestwie lecznicę dla ubogich chorych piersiowo. Zamieszkawszy w Warszawie, był od roku 1891 wiceprezesem tamtejszego tow. lekarskiego, współzałożycielem pism fachowych p. t. „Klinika“ i „Medycyna“ oraz jednym z najenergiczniejszych jego członków.

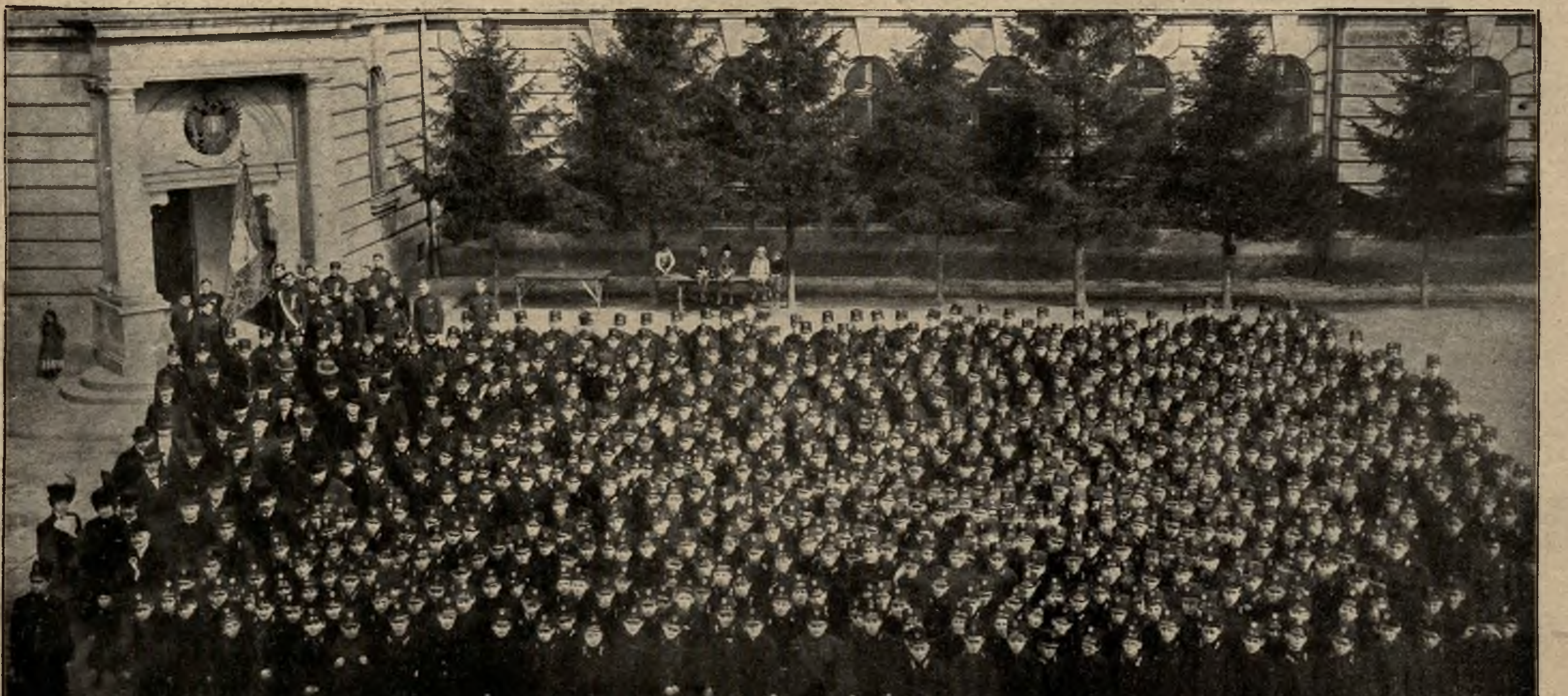
W bieżącym numerze podajemy fotografię ś. p. dra Dobrzyckiego z ostatnich lat.



Zgon wybitnego lekarza-obywatela: Zmarły w Warszawie ś. p. dr. Henryk Dobrzycki.

Ze scen Warszawy.

Duża liczba teatrów, i to trzeba przyznać dobrych, pierwszorzędnych; moda bywania w teatrze i wogóle „rozteatrowanie się“ Warszawy, jak to dźwięcznie nazywa żargon dziennikarski, sprawiły, że sceną, czasem tem nawet, co się na niej dzieje... za kulisami, wogóle teatrem interesuje się wielce Warszawa. Senzacya teatralna jest ewenementem dnia, komentowanym przez pisma i szerokie koła publiczności. Artyści wszystkich scen, to najpopularniejsi ludzie w mieście, ich radości, to radości Warszawy, z nimi obchodzi ona jubileusze i tryumfy, z nimi się martwi, gdy ich coś przykrego spotka. Ostatnio zdarzył się głośny fakt wystąpienia ze scen rządowych Frenkla, Brydzińskiego i Dygasa; zdarzenie to zelektryzowało bywalców teatrów: „Rozmaitości“ i „Wielkiego“ — dlaczego? — niewiadomo... Podobno sprawy zakulisowe, ale Warszawa się zmartwiła, co stanie się z jej ulubieńcami. Teatro-



Ku czci Szewczenki: Uczniowie gimnazyum ruskiego w Przemyślu, biorący udział w obchodzie setnej rocznicy urodzin poety. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

i melo-mani są wielce zaalterowani — nie masz „naszego“ Frenkla — biadają, panie opłakują „aksamitnego“ tenora — Dygasa — a my... podajemy podobiznę tych dezerterów.

„Parsival“ w Warszawie.

Największego z arcydzieł Wagnera, dramatu-misteryum p. t. „Parsival“, który jest ukoronowaniem jego



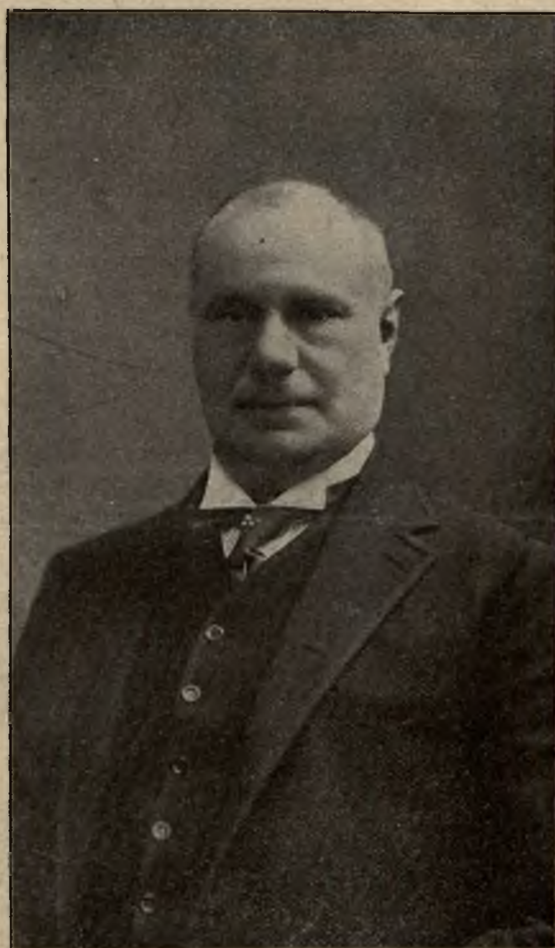
Ze scen Warszawy: Antoni Dygas, artysta opery.

twórczości — do r. 1914 nie miał prawa wystawiać żaden z teatrów, prócz sceny w Bayreuth. Dopiero z początkiem roku 1914 nadszedł termin, kiedy „Parsival“ stał się własnością publiczną. i niemal jednocześnie wystawiły go wszystkie wielkie opery europejskie. Teatr Wielki w Warszawie nie chciał pozostać w tyle, jednakże nie mógł wystawić potężnego dramatu muzycznego w całości i zadowolił się wystawieniem „kawałka“ „Parsivala“ — obrazu drugiego z aktu pierwszego, przedstawiającego zamek Graala i Monsalvat. Obraz ten był przepiękny. Pod względem muzycznym przedstawienie to nie było tak udałem. Teatr Wielki obiecuje jednak sobie powetować to w przyszłym sezonie — wystawieniem całego „Parsivala“, kiedy będzie lepiej do tego przygotowany.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy dwa zdjęcia z tego pierwszego przedstawienia „Parsivala“ w Warszawie.



„Parsival“ w Warszawie: Zamek Graala.



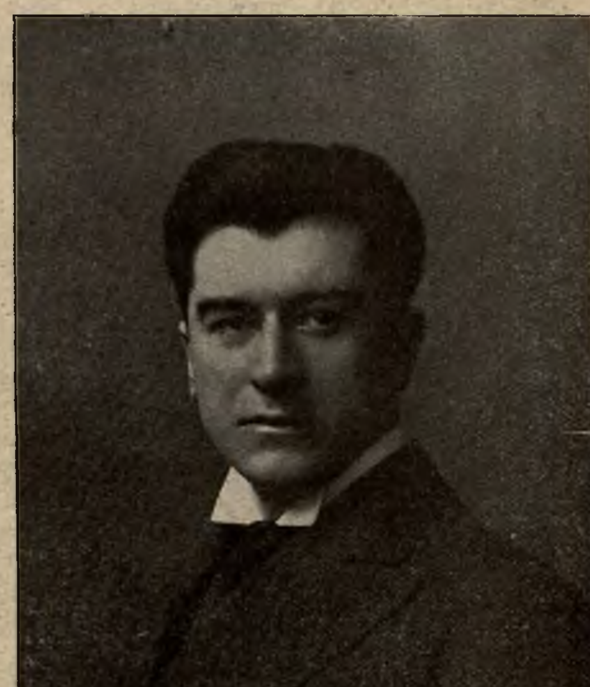
Ze scen Warszawy: Mieczysław Frenkiel.



„Parsival“ w Warszawie: Obraz drugi aktu pierwszego. (X) Parsival — M. Lewicki. (XX) Amfortas — Brzeziński.

Chrześcijańskie stowarzyszenie robotników w Siedlcach.

Idea organizacyj zawodowych, lokalnych, oświatowych etc. coraz większe czyni postępy w naszem społeczeństwie, nawet tam, gdzie dotąd życie społeczne było w uśpieniu tj. — na prowincyi w Królestwie. Wdzięczne to pole pracy dla miejscowej inteligencyi, a przedewszystkiem kapłanów. I trzeba przyznać, że energiczniejsze jednostki z księży prowincyonalnych potrafiły w tej dziedzinie wiele już dokonać, grupując w związki i zrzeszenia luzem żyjące dotychczas społeczności miejscowe. Ostatnio mamy do zanotowania niedawno, bo w czerwcu zeszłego roku powstałe stowarzyszenie robotników chrześcijańskich, a liczące już obecnie 356 członków. Stowarzyszenie to prowadzone przez swego patrona ks. kanonika Scipio del Campo i prezesa Jana Sa-



Ze scen Warszawy: Wojciech Brydziński, artysta teatru Rozmaitości.

piehę wykazuje wiele żywotności na zaniedbanym dotąd terenie Siedlec.

Uroczystość kolejarzy w Przemyślu.

Podurzędnicy i służba ruchu kolei państwowej w Przemyślu urządzili dnia 4 b. m. uroczysty obchód imienin tamtejszego naczelnika p. Kazimierza Junga, ogólnie lubianego i szanowanego przełożonego. So-

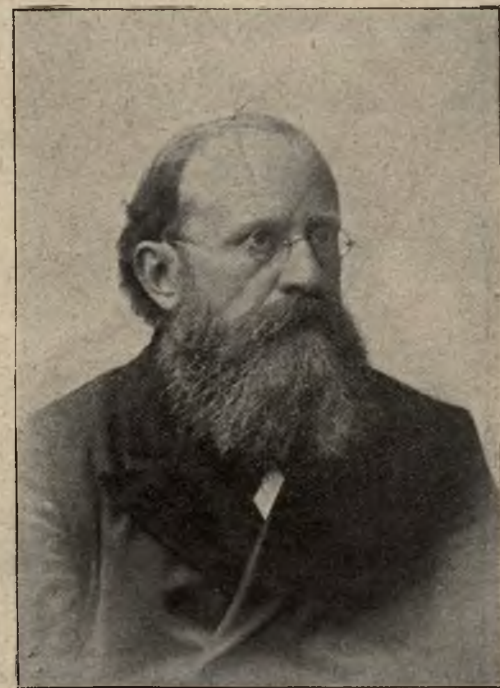


Chrześcijańskie Stowarzyszenie robotników w Siedlcach: Zarząd z patronem ks. Scipio del Campo w pośrodku.

lenizantowi ofiarowali podwładni adres z podpisami, oprawny w piękne ramy, który wręczono mu w przystrojonej sali szkoły kolejowej, gdzie na cześć naczelnika Junga odbył się wieczór. Liczne deputacye składały solenizantowi życzenia imieniem personalu, a nadto w dowód sympatyi uczestnicy zebrali między sobą 180 kor. z przeznaczeniem ich na fundusz stypendyalny. Po uroczystości zebrani upamiętnili miłą tą chwilę wspólną fotografią, którą właśnie zamieszczamy w numerze bieżącym.

Zgon uczonego.

Społeczności m. Lwowa i tamtejszej Wszechnicy ubył wybitny mąż i uczony, pracownik na niwie społecznej i oświatowej, profesor uniw. dr. Bronisław Radziszewski. Urodzony w Warszawie w 1838 roku, nauki szkolne i uniwersytet ukończył w Moskwie, a następnie po przybyciu do Warszawy zamieszany został w wypadki roku 1863, co go wreszcie do opuszczenia kraju zmusiło. Przeniósłszy się początkowo do Belgii, a w następnie w roku 1870 do Krakowa, pracował naukowo w dziedzinie chemii, a także wykładał ten przedmiot w szkołach krakowskich. W roku 1872 przeniósł się do Lwowa, gdzie już do zgonu pozostał. Jako wybitny pedagog i teoretyk został w roku 1874 członkiem Krakowskiej Akademii Umiejętności, a nadto powołał do życia we Lwowie polskie Tow. przyrodników im. Kopernika i redagował przez długie lata organ tegoż towarzystwa „Kosmos". Od roku 1873 zasiadał w radzie miasta Lwowa i przewodniczył sekcyom: szkolnej i organizacyjnej.



Zgon uczonego: Ś. p. dr. Bronisław Radziszewski, profesor Wszechnicy lwowskiej.

Nauka polska, nie mająca zbyt wielu pracowników, zwłaszcza w dziedzinie wiedzy przyrodniczej, przez zgon prof. Radziszewskiego poniosła stratę dotkliwą



Uroczystość kolejarzy w Przemyślu: Grupa uczestników uroczystości. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

16

— Czy masz jaki dowód tej strasznej rzeczy?

— Słuchaj!... Popełnia wielką nieostrożność, kto pozostawia młodą kobietę samotną! Jest to nieostrożność granicząca z szaleństwem, gdy ta kobieta jest tak piękna!... gdy wyobraża sobie, że święte stanowisko, które zajmuje, czyni ją nietykalną dla zwykłego śmiertelnika. Nikt silniejszym od fatalności być nie może! Byłem wówczas, tak, jak i dziś, bardzo marną istotą... żyłem po lasach, polach, gdzie się zdarzyło! Otóż zatrzymałem się pewnego razu w świętym gaju, w pośrodku którego wznosiła się starodawna, opuszczona świątynia... Był tam posąg Siwy, do którego modliłem się w samotności... W miejsce to nie byłby się ośmielił przyjść żaden Hindus, tylko pielgrzym i kapłan! Ale księżniczka z krwi poświęconej, miała prawo znajdować się wszędzie! Przychodziła więc i ona modlić się przed posągiem Siwy!... Gdy jednego dnia przedzierała się przez dżungle, tygrys wyskoczył na jej spotkanie...

Książę zbladł i oparł rękę na ramieniu Matjasego.

— Sądziłem, że jest zgubiona — mówił dalej fakir. — Może dziś, kiedy już więcej zbliżyłem się do Boga, miałbym na tyle potęgi we wzroku, aby powstrzymać zwierza... lecz wtedy byłem jeszcze bezsilny! i rzucając, się pomimo wszystko, pomiędzy nią a tygrysa, wiedziałem, że oboje staniemy się jego ofiarami!... Ale w chwili, gdy zwierz czaił się w śmiertelnym podskoku, rozległ się wystrzał i zwierz raniony legł u stóp zahypnotyzowanej księżniczki. W kilka sekund później kula drugiego strzału zraniła mnie lekko w czoło... Możesz książę obejrzeć jej ślady...

Książę, drżąc na całem ciele, podszedł do starego fakira i ręką dotknął jego czoła; widniało na niem wklęśnięcie dość silnie zarysowane.

— Nie było to nic niebezpiecznego — ciągnął dalej fakir — lekka kontuzya, spowodowana odłamkiem kuli, która musiała być wybuchająca, jednakże zemdlałem. Gdy odzyskałem przytomność, noc już była i zupełna cisza. Księżniczka i jej zbawca nie wiedzieli o mojej obecności, skoro nie pospieszyli na mój ratunek.

— Ale ten człowiek... Faliku, ten człowiek! Kto on był?

— Umiej słuchać cierpliwie, by dobrze poznać prawdę, a następnie sądzić!

— Zaczołgałem się do świątyni, by módz podziękować Siwie za ocalenie, skoro nie byłem jeszcze godny Nirwany... Ale na progu zatrzymałem się... ktoś mówił, cichym, stłumionym szeptem. To była małżonka twoja i jej zbawca.

— Widziałeś go więc! dobrze widziałeś?! Musisz więc teraz dopomódz mi do odszukania go! Jeżeli jeszcze żyje!

— Żyje! — rzekł fakir pogardliwie. — Ale nie sądź, książe, że ci wykryję tę tajemnicę, bez żądania czegoś w zamian. I raz jeszcze powtarzam, musisz wysłuchać wszystko, zanim go osądzisz! Małżonka twoja była jeszcze w stanie silnego podniecenia i zdenerwowania! Widziała ciągle przed sobą strasznego potwora, o krwiożerczych oczach, czającego się na nią w podskoku!... i pomimo stanowiska swojego, pomimo pogardy, jaką czuć była powinna do tego cudzoziemca, całowała z wdzięcznością jego ręce!... I przyszła chwila na nią takiego osłabienia i przyćmienia zmysłów, bo z oczu tego człowieka płynęła taka siła i potęga, że nieprzytomna padła w jego objęcia!

— Chcesz więc powiedzieć, że ten nędznik nadużył chwili słabości?!

— O książę! Czyliż ci trzeba powtarzać słowa moje!... Pozostawiłeś księżnę osamotnioną przez tyle miesięcy! w tej porze jej lat, kiedy miłość tak prędko zwycięża... pozostawiając za sobą pokonane, słabe istoty, niekiedy ofiary... Widocznem było, że księżna była pod wpływem silnego uroku. Czy to było tylko jej winą? i czy tobie nie należała się straszna kara, za to jej opuszczenie?

— Ale... ty przeszkodziłeś tej zbrodni... nie stałeś się wspólnikiem zdrady!

— Wspomniałem ci już, o książę, że osłabiony upływem krwi przyczołgać się do świątyni musiałem... Głowa mi ciężyła... a to co ujrzałem... przygnębiło do reszty... nie wiedziałem sam, czy to rzeczywistość, czy też majaczenie gorączkowe. Gdy odzyskałem trochę równowagi umysłowej... dostatecznej, by zdać sobie sprawę, że to była niestety rzeczywistość... tych dwoje ujrzałem splecionych w miłosnym uścisku!

— A więc stała się zbrodnia, straszna zbrodnia, która krwawo i prawnie pomszczona być musi!...

— Jeżeli tak sądzisz!

— A ty nikomu... słuchaj... nikomu, nie odkryłeś tej tajemnicy?

— Od dnia tego instynktownie przewidywałem, że nadejdzie dzień, w którym posiadanie tej tajemnicy uczyni mnie twoim panem!... i widzisz książę, że ten dzień nadszedł!

— Nazwisko tego człowieka?

— Wiedz jeszcze, że księżniczkę dręczyły szalone wyrzuty, bo ona kochała ciebie zawsze! Lecz nie umiała się oprzeć tamtemu... I przez dwa długie miesiące, które upłynęły od tego zajścia... przybyła dziesięćkrotnie do świątyni, gdzie oczekiwał ją cudzoziemiec, który tylko dla niej pozostał w naszym kraju!

— I nie wiedział o twojej obecności?

— Istoty do mnie podobne łatwo się w gąszczach ukryć mogą. Skoro nie mogłem niczemu zapobiedz, chciałem wiedzieć, jak skończy się ten smutny epizod. W ten sposób poznałem rozpacz małżonki twojej, gdy otrzymała od ciebie rozkaz opuszczenia kraju, w celu złączenia się z tobą... Bo wówczas wiedziała już, że będzie matką! I idąc do ciebie, wiedziała, że idzie na śmierć pewną, bo ukryć przed tobą prawdy już nie mogła. Wtedy to cudzoziemiec starał się ją nakłonić, by porzuciła ciebie i kraj nasz i poświęciła się jemu! Chciał ją ukryć w Europie, gdzie byś jej nigdy nie mógł odnaleść. Ale ona wołała gniew twój straszny, niż zdradę ukrywaną!... Cudzoziemiec więc postanowił towarzyszyć jej w podróży i wreszcie uwolnić od eskorty mającej z nią razem podążyć... Czyż nie w ten sposób, panie Matjasi, odbyło się wszystko? W Paryżu miała być księżna powierzona najzdolniejszym lekarzom, którzy mieli zadanie uwolnić ją przedwcześnie od dziecka, zachowując mu jednak życie, bo człowiek ten zdawał się być już gorąco do niego przywiązanym! W pierwszych dniach cudzoziemiec zaledwie rozumiał język nasz, lecz wkrótce władał nim biegle, miłość była najlepszym nauczycielem! Nie utraciłem więc ani jednego słowa z ich rozmowy... Otóż w jakich warunkach opuściła księżniczka Indye... odbyła podróż... na chwilę nieopuszczona przez swojego przyjaciela, który jednak musiał być piekielnie zręcznym człowiekiem, skoro zdołał ustrzedz się gorliwej pieczy i uwadze Matjasego.

— Byłem zawsze tego zdania — rzekł zamyślony książę.

— Gdy powróciłeś do Indyi i rozeszła się wieść o śmierci małżonki twojej, przy urodzeniu się córki... i że tą córkę, uznawszy za swoją przywiozłeś ze sobą, nie dziwiłem się wcale. Znaną mi była wyższość twojego umysłu i szlachetność myśli; musiałem zrozumieć, że na zdradę takiej istoty, jaką była małżonka twoja, złożyć się musiały wyższe, niezależne od niej samej przyczyny. A przytem mała księżniczka Kita tak uderzająco była do ciebie podobną! Więc nie mogła ci być całkiem obcą, bo przez ustawiczną myśl ku tobie skierowaną, wspomnienia, wyrzuty i miłość, dziecię to stawało się w części własnością twoją, cząstką twojego istnienia! Byłem wówczas, tak, jak i dzisiaj, nędzną istotą, pomyślałem, że czyn twoj był sprawiedliwy i dobry, i zachowałem moją tajemnicę, wiedząc, że kiedyś jako broń ostateczną skieruje ją ku tobie! A zresztą, któżby uwierzył słowom moim w owym czasie! Milczenie zachowało mi życie! Nie posługiwaliśmy się wówczas jeszcze dziennikami, kiedy dziś mogę podać opowiadanie to do wiadomości publicznej i w tysięcznych egzemplarzach rozrzucić po kraju... I uczynię to, książe! jeżeli nie przyjmiesz moich warunków! jeżeli nie zobowiążesz się świętem twojem słowem, że potajemnie pomocnym będziesz naszym zamiarom!

— Nędzniku!

— Nie jest nędznikiem, kto się poświęca dla swojego kraju! Oczekuję więc twojej odpowiedzi.

— A ja? Czy celem i dążeniem jedynem, nie była praca dla mojego narodu? Czy kraj mój nie może nazwać się najszczęśliwszym z pomiędzy krajów Indyi?

— Napróżno chcesz ze mną dysputować, książę! To ja, więzień twój, zdany na twoją łaskę, dyktować ci będę wolę moją! I uszanujesz moje życie, bo gdybyś nawet ośmielił się rękę na mnie podnieść, nie zataisz tem prawdy!

Książę milczał chwilę, miotany bezsilnym gniewem i niemocą! Teraz rozumiał, że spokój jego życia, cześć i honor, leżały w rękach tego starca!

Usiłował jednak jeszcze wejść z nim w układy.

— Ale powiesz mi nazwisko tego człowieka?— zapytał.

— Kiedy otrzymam od ciebie, książe, twoje słowo!

— Utrzymujesz, że znasz go osobiście?

— Mam w rękach jego papiery, w których wymienione jest jego nazwisko i fotografię, z jego własnym podpisem. Widzisz więc, że pomylić się co do tożsamości jego osoby nie mogę!

— A te papiery?... Kiedy mi je wręczysz?

— I znowu powtarzać ci muszę słowa moje, o książę! Oddam ci wszystko, gdy będziesz do nas należał.

— Tak! Więc ja cię przekonam! — zawołał książę — przekonam cię, że pomimo potęgi twojego umysłu, pomimo zręczności w ukrywaniu tej tajemnicy, która jest moją, zmuszę cię do wyznania... bez zastrzeżeń i warunków!...

— Rób ze mną, co chcesz, nie powiem ani słowa! — odparł spokojnie stary fakir.

Książę odpowiedział ironicznie:

— Nie będziesz potrzebował sam nic mówić. Ja chcę!...

Ostatnie słowa książę wymówił z zadziwiającą mocą i siłą.

— Ja chcę! słyszysz, chcę sam czytać w myślach twoich i uczynię to!

— Matjasi — zwrócił się do sekretarza, spokojny już i pewny siebie — niech tego człowieka zaniosą do mojego gabinetu, a ty pozostań przy nim!... Chciałem natychmiast wypróbować siły mojej nad nim, jednakże w tej chwili nie czuję się dość potężnym i czystym, dość bliskim Boga! Mógłby mi się oprzeć! kiedy za kilka godzin, gdy uspokoję wzburzone nerwy modlitwą i samotnością, zobaczymy się, czy zdoła uniknąć wpływu, duszy i potęgi księcia Kiwani!

— — — — — — — — — — — — — —

Za kilka godzin!... To znaczy kiedy nadejdzie dzień, gdy poczciwy pan Morel, przyniesie księciu jedną z miniatur zupełnie odnowioną i fotografie z muzeum Guimeta, z których książę zażądał nie tylko kopie, lecz i klisze szklane, a które pan Morel pokazać umiał w powiększeniu.

Zaledwie też malarz ukazał się w pałacu, książę kazał go prosić do siebie i udał się z nim do zaciemnionego pokoju, sąsiadującego z pracownią księżniczki Kity.

— Wiele czasu potrzebować będziesz, mój drogi mistrzu, na wywołanie kliszy fotograficznej? — zapytał książę!...

— Kilka minut zaledwie.

— A więc, zechciej pan natychmiast uczynić reprodukcyę tego portretu, podanego w „Dzienniku dla wszystkich".

— Nie wiem, czy otrzymamy coś zupełnie zadowalniającego — zauważył pan Morel, bacznie obserwując fotografię, przedstawiającą Johna Harry Goldenspeech'a z czasów, kiedy nie był jeszcze lordem Cateley, — fotografia jest bardzo niewyraźna!

— Nic nie szkodzi — odparł książę. — Mam w Kiwani, w pałacu, stare manuskrypta z ilustracyami, w tym samym prawie stanie i chcę wiedzieć, jak wyglądać będą po powiększeniu. Czy pan ma z sobą latarkę powiększającą!?

— Wspaniały model nawet, który przysłano mi tymi dniami!

— Bardzo dobrze! Bierz się pan więc do tego zdjęcia, i staraj się, żeby ta robota nie długo trwała.

Jan le Kerlack był cośkolwiek zdziwiony, lecz starał się nie okazywać tego, wiedząc, że ludzi tak potężni, jak książę Kiwani, należy niewolniczo słuchać, nie pytając.

Przedtem jeszcze kazał umieścić w małem laboratoryum księcia łukową lampkę, za pomocą z której mógł otrzymać migawkowe klisze negatywne, z klisz pozytywnych. Operacya ta trwała zaledwie pół godziny, i książę był w posiadaniu negatywnej kliszy, przedstawiającej Johna Harry Goldenspeech z czasów jego podróży do Indyi.

— — — — — — — — — — — — — —

Stary Falik, strzeżony przez Matjasego, znajdował się jeszcze w gabinecie księcia, gdzie na jego rozkaz sekretarz szczelnie pozasuwał story i portyery, tak, że w pokoju panował mrok zupełny.

Książę wszedł do gabinetu drzwiami ukrytemi, po za fotelem, na którym siedział fakir. Postawił ostrożnie na kominku powiększającą latarkę, poczem przystąpił szybko z tyłu do fakira i rękę silnie przycisnął do jego czoła:

— Patrz! zawołał książę.

Fakir instynktownie chciał spuścić powieki, lecz książę brutalnie uniósł je paznogciami, zmuszając go w ten sposób do patrzenia.

— Patrz! Nie chciałeś mi wymienić nazwiska

tego człowieka!... A więc ja je sam odkryłem! Jednakże waham się jeszcze z wydaniem na niego wyroku śmierci! Rozkazuję ci myśleć o nim! Chcę tego! Usiłowałeś tej nocy wydrwić moją potęgę! Chcę, by obraz tego człowieka powstał w twoim umyśle! By ci się teraz objawił!... tak, teraz!... przed tobą!...

Przed oczami fakira widniała ściana mlecznej białości.

— Patrz! rozkazuję ci!

Szybkim ruchem książę wsunął do powiększającej latarki małą klisze szklaną, i usunął ją prawie natychmiast. Chwila ta była wystarczająca. Fałik, na widok Johna Harry Goldenspeech'a, ukazującego mu się w naturalnej wielkości, nie mógł powstrzymać silnego wstrząśnienia!

— Widzisz więc — rzekł pogardliwie książe, stając przed nim — że zmusiłem cię do wyjawienia mi tajemnicy!... Bo przecież poznałeś go? co? poznałeś?! I czy ośmielisz się zaprzeczyć, że to nie jest ten cudzoziemiec? i że nie nazywa się John Harry Goldenspeech!? I jeżeli takim cudownym sposobem wiesz wszystko, to i ta wiadomość nie powinna ci być obcą, że on jest dzisiaj lordem Cateley i że król Anglii nadał mu tytuł barona d'Orfangon! A teraz, Matjasi, odsuń firanki!

Podczas, gdy sekretarz zajęty był wypełnianiem tego rozkazu, książę ukrył powiększającą latarnię w przyległym pokoju i powrócił, uśmiechając się wciąż pogardliwie, do zdumionego fakira.

— Czy teraz poznałeś pana, przeciw któremu walczyć chciałeś? któremu w naiwności swojej narzucić chciałeś swoją wolę!... Nie mam jednak do ciebie żalu, bo jesteś świętym człowiekiem i kochasz nadewszystko naszą rodzinną ziemię. Zatrzymam cię przy sobie na razie i twojego towarzysza również. Wytłomacz mu, że walczyć ze mną nie można! I zadowolnijcie się mojem zapewnieniem, że kocham mój kraj w tym samym stopniu, co i wy! Ty, Faliku, zachowaj moją tajemnicę i bądźcie na moje usługi! I jeżeli rzeczywiście jesteś rozsądnym człowiekiem, działać będziesz tylko po mej woli!

Odwet.

Miss Ewangelina Goldenspeech była szczęśliwa i nieszczęśliwa zarazem!

Szczęśliwa, bo sława jej brata przybierała nadspodziewane rozmiary; lord Cateley kończył właśnie układy z delegatami francuskimi, tyczące się nominacyi jego specyalnej w kierownictwie sprawy państwowej, powołującej go do Indyi. Lord Cateley miał teraz zażegnać sytuację dość groźną, budzącą poważne niepokoje w umysłach polityków angielskich. Anglii gorąco zależało, aby nie stracić wspaniałych kolonij tam założonych, które bunt ostateczny młodych Hindusów mógł zniszczyć na zawsze. Na człowieku więc, który mógł przeprowadzić tę sprawę w sposób ugodowy, ciężyła wielka odpowiedzialność.

Miss Ewangelina więc czuła się tak dumną z pośrednictwa brata, że uczucie to wpłynęło nader dodatnio na jej usposobienie i zdrowie.

Ale na jej nieszczęście ten obrzydliwy Harry żył tylko po to, aby być wiecznem źródłem jej niepokojów. Lord Cateley nie chciał się żenić! To była brzydka chmura na jasnem niebie miss Ewangeliny.

— A dlaczego ty nie wychodzisz za mąż, moja kochana Ewo? — odpierał lord Cateley niestrudzone napaści siostry na jego osobistą wolność.

Wtedy biedna miss Ewangelina milczała na długą chwilę, obrzucając nieszczęśliwą swoją postać spojrzeniem pełnem żalu.

— Dlaczego ty, Harry, zawsze śmiejesz się ze mnie? — mówiła po chwili z wyrzutem w głosie.

Wtedy lord Cateley brał siostrę za rękę i prowadził do wielkiego lustra.

— Czy ja mogę się żenić, Ewangelino?

— Nie mów mi tego! — wołała z entuzyazmem stara panna. — Mężczyzna nie potrzebuje urody! A wiesz z pewnością, że miss Edyta Smilthmort, ta milionerka i miss Mand Carter, której dziadek był adjutantem, lord Cornwallis...

— One są bardzo piękne, przyznaję — przerywał wymowę siostry lord Cateley — i byłyby z nich bardzo przyjemne żony...

— A przedewszystkiem, zdrowe są! i dałyby ci z pół tuzina tęgich synów!

— Tylko, że ja nie miałbym czasu postarać się o nich — śmiał się lord Cateley.

Miss Ewangelina ukryła zaczerwienioną twarz w dłoniach! Jakże kochać musiała tego nieznośnego Harry'ego, skoro pozwalała mu na takie żarty!

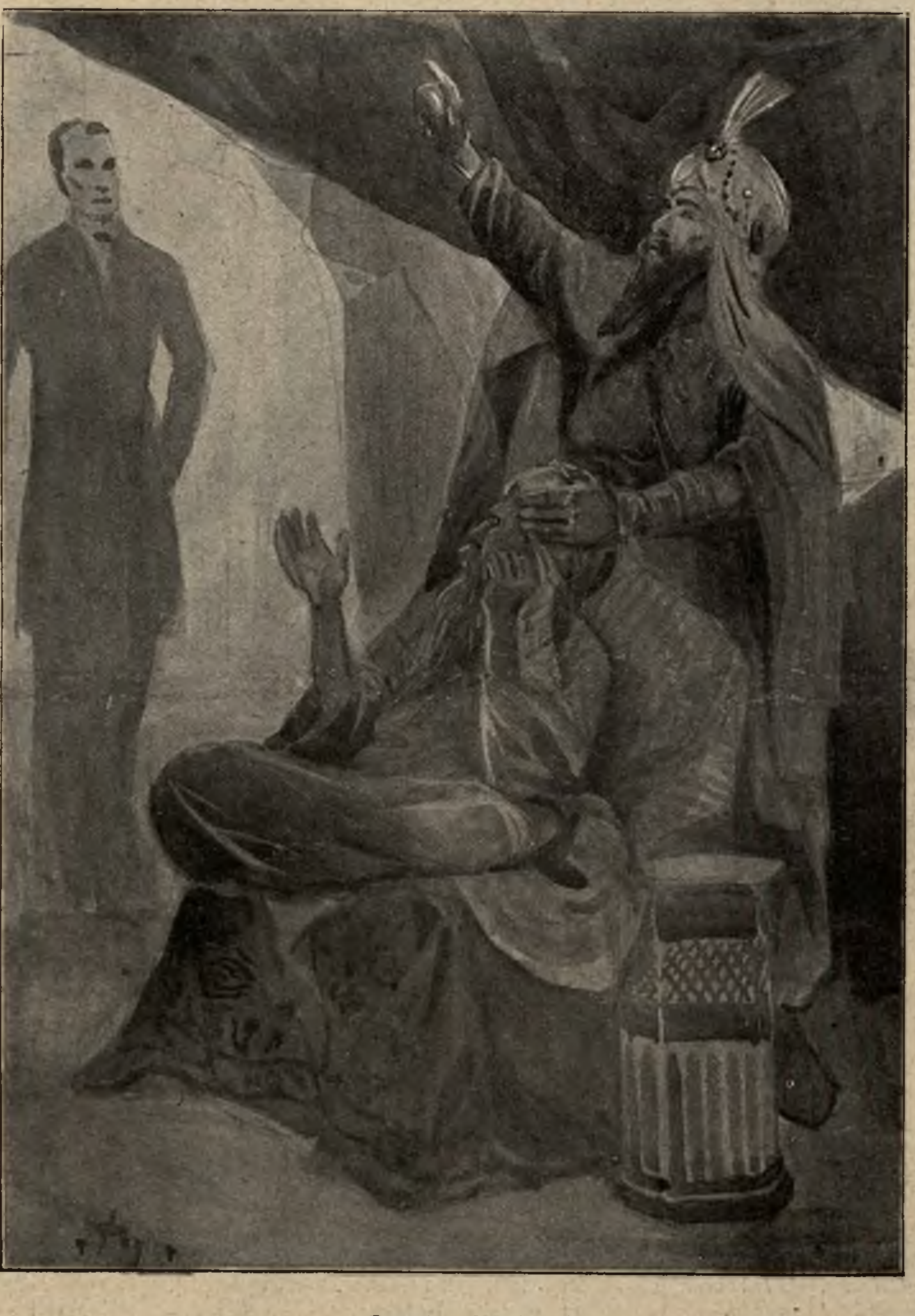
— Nie, moja kochana Ewo! Nie ożenię się nigdy, bo uczyniłbym żonę swoją zanadto nieszczęśliwą!

— Ty, taki dobry, szlachetny!

— Oh! oh! Zawiele komplentów, droga Ewo! Jednak przyznaję, że może żona moja nie czułaby się bardzo pokrzywdzoną, gdybym przy niej zawsze mógł pozostać! Ale ja mam już dosyć Europy i chcę wyjechać do Indyj!

— Żona może ci towarzyszyć!

— Byłaby mi tylko przeszkodą.



— Patrz! rozkazuję ci!

— Ale przecież, Harry, ty powrócisz z Indyj, po dwóch, trzech latach!

— Kto wie? Kto wie, gdzie mnie fantazya poniesie jeszcze! Krajowi mojemu i królowi zawsze jednak służyć będę. Ale ja nie jestem stworzony do życia, pośród tej cywilizacyi, pomimo chwały, jaką tu zdobyłem, i pomimo szczerej radości, że cię mam nareszcie przy sobie, droga moja siostro!... Nie mogę, wierz mi, żyć w małostkach naszego świata. Dobrze się składa, że król powierzył mi tę misyę w Indyach, inaczej byłbym się wybrał sam na nową jakąś awanturniczą ekspedycyę.

— A czy pomyślałeś o rodzinie naszej, Harry! o nazwisku!

— Rodzina nasza! Ależ uspokój się Ewo! Obliczyłem kiedyś wszystkich członków rodziny Goldenspeech! Otóż, jest ich 477! Widzisz więc Ewo, że mamy w czem wybrać spadkobiercę i tobie właśnie chcę powierzyć ten wybór! Przecież do śmierci nie pozostaniesz przy księżniczce Kicie? — dodał lord Cateley drżącym głosem, który miss Ewangelina wytłomaczyła sobie wzruszeniem na myśl o bliskiem rozstaniu z siostrą.

— Obiecałam, że nie opuszczę jej, aż do dnia jej ślubu! Lecz pomimo wielu pretendentów, nie sądzę, żeby to nastąpiło rychło! Ale w każdym razie dojdzie do tego rozłączenia, Harry, i ty mi pozwolisz samotnie powrócić do naszego zamku w Cateley?

— Tak jest, Ewo — zamieszkasz wówczas w Cateley, którego będziesz jedyną panią. A o tem, że wsławisz się tam dobrymi czynami i tradycyonalną gościnnością naszego rodu, nie wątpię! Ja zaś przybędę do ciebie, gdy znużony podróżami zapragnę trochę spokoju i wytchnienia. Taki jest plan mojego życia, i proszę cię Ewo, nie staraj się przekonać mnie, bo to będzie bez celu!

— Oh! ta głowa! ta głowa! — zawołała miss Ewangelina, dotykając ręką czoła brata.

— Sądzę, że nie chciałabyś, żebym był mniej uparty od ciebie — zaśmiał się lord Cateley.

— Ale, Harry, nie wyruszysz do Indyj zaraz! Zamieszkasz czas jakiś w naszym starym zamku? Tyle tam teraz odnowień potrzeba poczynić! Ten zacny pan Morel przyrzekł mi, że nas odwiedzi w tych dniach.

— A to bardzo szczęśliwie! Szkoda tylko, że nie jest tak dobrym lekarzem, jak jego sobowtór, ten pan Sebonnier, nad którym tak się rozpływasz Ewo. Tamten uwolnił by może od tych napadów febry, która nawiedza mnie od czasu do czasu. Chociaż od tej choroby nigdy uwolnić się nie można, bo ta czarna ziemia mści się w ten sposób na swoich ciemiężcach. Nikt z kolonistów tamtejszych uwolnić się od tego odwetu nie może!

— A jednak idziesz tam znowu narażać się!

— Co z tego? — rzekł obojętnie lord Cateley. — I w naszej starej Europie nie jest się wolnym od różnych fizycznych dolegliwości, które zabierają tysiące ludzi! Na febrę przynajmniej mamy niezawodny środek, chininę. Wstrzyknięcie chininy uwalnia nas na czas pewien od tej choroby. Zresztą do tej pory febra była dla mnie dość łaskawą!

— I dlatego zapewne znowu idziesz na jej spotkanie!

— Zdaje mi się, Ewo, że znowu zaczynasz bezskutecznie parlamentować ze mną!

Miss Ewangelina westchnęła ciężko! Wiedziała, że nie ma siły, mogącej odwieść brata od raz powziętego postanowienia.

Wypiwszy więc kilka szklanek herbaty, którym towarzyszyło parę grzanek z zimnem mięsiwem, i olbrzymi kawał plum-puddinga, pożegnała brata. Odprowadzając siostrę do drzwi przedpokoju, lord Cateley zapytał jeszcze o zdrowie księżniczki Kity.

— I zawsze jest z tobą w tak serdecznym stosunku, Ewo?

— Jak krewna!

— A... kiedy powracają do Indyi? Gdybyśmy tak mogli odbyć podróż w tym samym czasie! To by było wspaniale! Chociaż zdaje mi się, że książę w ostatnich czasach zmienił się trochę w stosunku do mnie — dodał lord Cateley, lekko wzruszony. — Nie zauważyłaś tego, Ewo? Gdy byłem po raz ostatni w pałacu, nie spuszczał ze mnie swego zimnego, badawczego spojrzenia!

— Przesadzasz, Harry — odpowiedziała stanowczo miss Ewangelina. — Jeżeli w księciu zauważyłeś jaką zmianę, nie ty wpłynąłeś na nią! Od dnia podróży swojej do Londynu, a szczególniej odkąd ci dwaj fakirzy przebywają w pałacu, książę jest bardzo roztargniony, a nawet niekiedy zamyślony. Odbywa ciągłe konferencye z Matjasim... a nawet małżonce swojej okazuje trochę niecierpliwości...

— A tobie, Ewo?... Czy względem ciebie również pozwolił sobie na okazanie złego humoru?

— Przeciwnie!... Względem mnie nie zmienił bynajmniej postępowania, a nawet powiedziałabym, że jest jeszcze grzeczniejszy i pełen względów! Przypuszczam nawet, że jedynie przez wzgląd na mnie, pozwolił na spacery do lasku Bulońskiego, gdzie mogę codziennie cię spotykać... Będziesz tam jutro?

John Harry zajrzał do notatnika.

— Mam jeszcze jutro rano posiedzenie komisyi... ale uwolnię się wcześniej.... Tak, będę mógł być jutro między jedynastą, a dwunastą, na tej bocznej alei, wiesz?

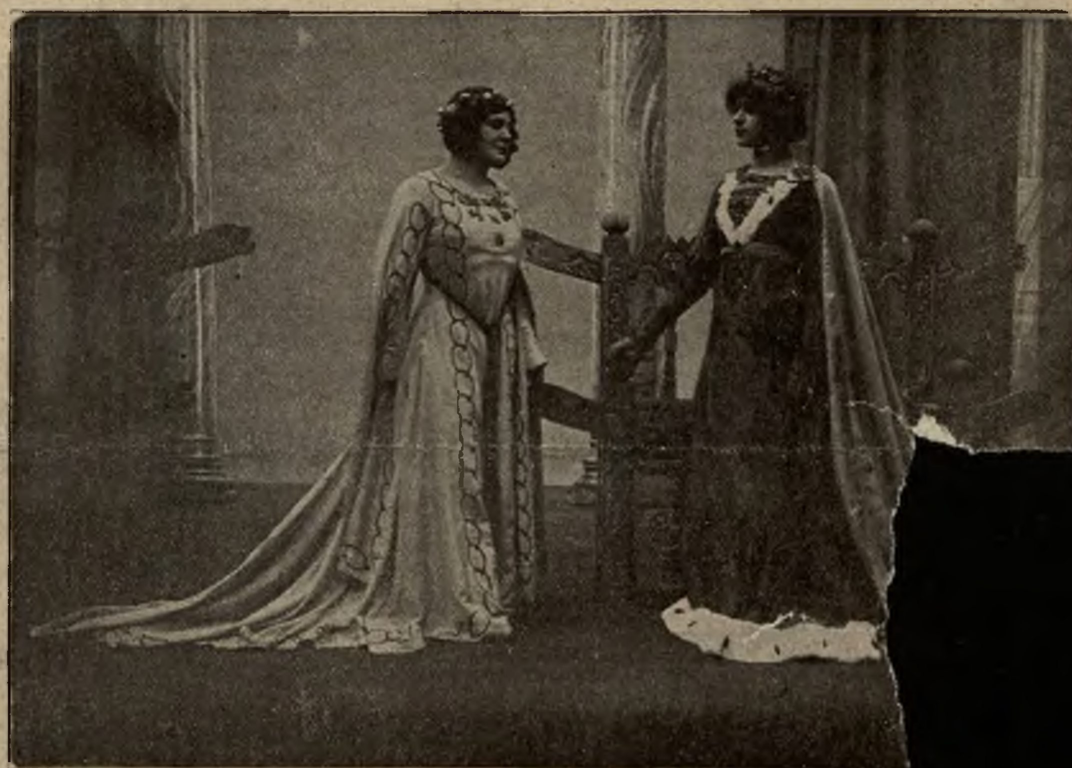
(Ciąg dalszy nastąpi).



„Hamlet" w Krakowie: W zamku Ofelii (scena obłąkania).



„Hamlet" w Krakowie: P. Adwentowicz w roli Hamleta.



„Hamlet" w Krakowie: Ofelia (p. Bednarzewska) i królowa (p. Łuszczkiewiczów



„Hamlet" w Krakowie: Scena czwarta, aktu IV. (Hamlet i żołnierze. Fortynbrasa na równinie w Danii).

Kronika tygodniowa.

Jak mi się zdaje, nie wywiążę się już chyba z danej swojego czasu P. T. Czytelnikom obietnicy i nie rozpocznę wspólnie z nimi rozmyślań, choć wielki post już dobiega połowy!

Ale nie moja w tem wina, tak się już okoliczności złożyły, a przeciw temu nie pomoże nawet kardynalskie *veto*...

Pierwotnie chciałem niniejszą kronikę poświęcić mordercom ś. p. Swiszczowskiego, sympatycznej spółce z nieograniczoną poręką, przyznam się przecież, że jestem na nich obrażony śmiertelnie, im bowiem, a nie komu innemu, mam do zawdzięczenia, że od dwu tygodni nie jadłem w domu obiadu.

Moja lepsza połowa dorwała się biletu wstępu na salę rozpraw, siedzi tam też od rana do późnej nocy. Nawet nie wiedziałem o tem, choć niedługo już będziemy obchodzić rocznicę wojny trzydziestoletniej, że z niej taka punktualna kobieta.. Na pół godziny przed otwarciem sali rozpraw ona już czeka cierpliwie pod drzwiami, nie odezwie się ani słowem, choć ją wygniotą w porządku i wyszturchają, ale nie pozwoli, by jej kto zabrał lepsze miejsce.

Ogromnie żałuje, że nie może ulokować się między sędziami przysięgłymi, stamtąd mogłaby dokładnie obserwować i trybunał i ławę oskarżonych i obrońców i audytoryum.

— A tam tyle jeszcze miejsca! — rzekła z westchnieniem.

Starałem się jej wytłumaczyć, że to jest wykluczone, odpowiedziała, że nie spocznie, tak ona, jak jej polityczne przyjaciółki, dopóki nie przeprowadzą uchwały, aby podczas sensacyjnych rozpraw ława przysięgłych była mieszana, to jest męsko-żeńska.

— Ilu to pomyłek sprawiedliwości uniknęłoby się w ten sposób! — dodała na zakończenie. — Kobieta jest przecież i bardziej przenikliwą i bardziej uczuciową!

— Otóż to właśnie sęk! — ja jej na to. — Tu trzeba zdrowego rozsądku, a nie uczucia! Wiadomo zaś, że komu Pan Bóg dał długie włosy...

— No... no!... Dajno spokój! — odparła oburzona. — Dobrze ci mówić, gdyś łysy, jak kolano! Ja zaś twierdzę, że włosy i rozum nie mają nic ze … nie istnieje między nimi żadne …

…elniczki i Czytelnicy mogą z tego … zainteresowanie obudził w Kra… dodam zaś, że takich, jak moja …ko więcej, możesz je liczyć na …obniony wypadek, to prawdziwa …awet pan fizyk miejski nie poradzi. …dzień więc wygasły ogniska do… nie było lepiej, pani domu mu… …cieć wszystkie przyjaciółki, by się … widziała i słyszała... Tak potra… …yazmować bohaterzy tej przykrej …libóg, nie przesadzę, jeśli powiem, iż …y ręki swej najukochańszej córki, gdyby …h o nią poprosił!

… tego zmniejszyła się w Krakowie kon… mięsa i zapotrzebowanie węgli, zwiększyło …miast poszukiwanie alkoholu przez płeć brzydką, która ze złości klnie, a do tego potrzebuje podniecenia, bodaj sztucznego.

W kawiarni, czy ona jest pod wezwaniem Bizanca, czy nazywa się Secesya, czy Esplanada, w wolnych chwilach panie rozmawiają tylko o Łyżwińskim, Goduli i spółce, przewidują z góry wyrok, krytykują trybunał, rzeczoznawców i obrońców, słowem, pokazuje się, że niewiasty mają ukryte zdolności, ale nie lubią ich na widok publiczny wystawiać, chyba, że zdarzy się sposobność. Każda z nich, to urodzony prawnik i to nie byle jaki!

Nadstaw ucho w prawo, a dojdą cię stamtąd słowa:

— Droga pani Kohn! A jakie wrażenie zrobił na pani ten Łyżwiński? A Godula?... Co pani powie do tego Krzaklewskiego?... Morowy?... Może nie?...

Z drugiej znów strony słyszysz:

— A ja pani mówię, moja pani mecenasowa, że moje nerwy to są po prostu całkiem potargane! Ale człowiek potrzebuje od czasu do czasu czemś się rozerwać, zwłaszcza, że to nic nie kosztuje! Gdybym tak mogła, to cały rok siedziałabym w kryminale!...

Byłem ciekawy, jak też właściciele kawiarni zapatrują się na tę sprawę, zwracam się więc do jednego z nich z zapytaniem:

— No i jakże?... Zadowolony pan z tego procesu?

— A niech to szlag trafi! — on mi na to. — Takie dwa procesy w miesiącu, a poszedłby człowiek bez por... przepraszam pana dobrodzieja za wyrażenie! Ale już mnie wściekłość ogarnia!...

— Dlaczegóż?... Przecież widzę, że gości więcej, niż w inne dni o tej porze!

— Tak! Gości więcej! Ale niech pan łaskawy popatrzy. Te niewiasty przychodzą, tutaj tylko po to, by się wygadać, więc nie mają czasu na jedzenie. Co najwyżej napije się która szklankę wody i to „bielańskiej“, by sobie gardło odświeżyć...

Zbliża się godzina czwarta, początek popołudniowej rozprawy, sala, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wypróżnia się gwałtownie:

Ze wszystkich kątów słyszysz głosy:

— Płacić!... *Zahlen!*...

Biedny pan Jan, czy pan Władysław, czy jak się tam zwie który płatniczy, zwija się, jak mucha w rosole, nie może jednak podołać, stąd i z owąd słyszy głosy:

— Miałam jedno ciastko.... Takie widymane... Zapłacę jutro, bo mi się spieszy!

Nie może więc Kraków narzekać na upośledzenie, ma sensacyę nie gorszą wcale od procesu Ronikiera, Mielżyńskiego. Macocha... W chwili, gdy kronika dostanie się w ręce Szanownych Czytelników, proces będzie już ukończony, nazwiska bohaterów będą się jeszcze plątać między P. T. Publicznością, a sylwetka niejednego z nich może nieraz przyśni się tej lub owej sufrażystce, która westchnie głęboko, lecz z czasem zapomni...

Gdybyś, o zacny Czytelniku. spełnił uczynek, któryby całemu Twemu społeczeństwu przyniósł korzyść, gdybyś się na polu pracy narodowej odznaczył, jak nikt dotąd jeszcze, bądź pewnym, że ani w połowie nie będą o Tobie tyle pisać, ani mówić, co o jakimś tam Łyżwińskim, Goduli lub Gackiewiczu!...

Ale trudno! Takie to już teraz nastały czasy, postęp widzimy na każdym kroku, nam starym trudno się do tego jakoś przyzwyczaić!...

Widzę, że i ja poszedłem za ogólnym prądem i dałem mu się porwać, choć czekają mnie ważniejsze sprawy. Boć to i polityki dawno nie ruszałem i z Krakowem, choć to moje rodzinne miasto, obchodzę się jakoś bardzo po macoszemu; zaledwie raz raczyłem wspomnieć, że mamy już w śródmieściu nowe światło elektryczne, przeszedłem zaś do porządku dziennego nad tem, że ono już raz zawiodło!

Mieliśmy więc nadprogramowe zaćmienie, nie przepowiedziane w kalendarzu Czecha na rok 1914.

A jakoś rok bieżący obfituje w zaćmienia. Nie mam na myśli owego zaćmienia księżyca, z dnia 12 marca b. r., o którem czytałem, że będzie częściowem i przekonałem się, że tak było istotnie. Widziała je tylko część ludzi i to przeważnie kawalerowie, żonaci nie chcąc się narazić na odpowiedzialność karno-domową, musieli w tym czasie spoczywać w objęciach... proszę się nie gorszyć... Morfeusza!

Bo też to także wynalazek niemądry urządzać zaćmienie gdzieś nad ranem, rozpoczynające się o godzinie drugiej po północy, a kończące przed szóstą, gdy brama jeszcze zamknięta! Z tego właśnie powodu sprawozdawcy pism krakowskich zbyli je milczeniem, bo to wszystko ludzie żonaci. Ja obserwowałem księżyc z okna sypialnego pokoju, niestety świecił z odwrotnej strony, to jest z tej, w którą moje okna nie wychodzą. A nie stać mnie, bym mógł mieć okna i z przodu i z tyłu!

Dajmy jednak spokój i księżycowi. Co on winien, że czasem, jest zaćmiony, skoro coś podobnego zdarza się i niejednemu z nas, niektórym zaś nawet bardzo często...

Wobec takich sensacyi chyba nikt się nie dziwi, że zapomnieliśmy o księciu Wiedzie, który w Albanii panuje już prawie tydzień, a jeszcze nie objawił zamiaru abdykacyi, choć podobno gryzą go bardzo... miejscowe stosunki. Pisze też często i telegrafuje, raz do Wiednia, potem znów do Rzymu, by mu przysłali pieniędzy, nie może się przecież doczekać na odpowiedź, nic też dziwnego, że narzeka na niesprawność poczt, tak austryackich, jak i włoskich.

Ja mam dlań dobrą radę, gdybym był hrabią Berchtoldem, nie ociągałbym się z nią ani chwili.

Ot, zbliża się nowy okres loteryi klasowej! Jeśli potrzebuje pieniędzy, niechaj kupi sobie los, a poszczęści mu się z pewnością, tak, jak mnie na poprzedniej. Nic nie wygra.

— A miał pan los na poprzedniej, panie kronikarzu? — spyta może ktoś ciekawy.

Aczkolwiek ciekawych ludzi nie lubię, odpowiem mu zaraz:

— To jest... ja, właściwie mówiąc, losu nie miałem, ale to przecież nie sztuka wygrać, jeśli się los kupi! Kto ma szczęście, … Ale ja już mam pecha od sa… tego szkoda pieniądze wydawa… że choćbym kupił i tak nie wyg… to co innego! Taki to wygra! … przysłowie niemieckie, „dumny … ście“... A książęta są przecież d…

Ot... choćby wziąć na uwagę … krajowych, byle nie kniazia Puty…

Ponieważ widzę, że w tej k… absolutnie nie dam rady, poruszyć … styę, jaka mi się nasunęła z oka… rozwiązań zagadki konkursowej, k… Redakcya zajmuje.

Jak dotąd, nadeszło ich ponad …

Ponieważ każdy kronikarz jest z … i wszędzie musi wsadzić nos, choć ni… prosi, przeszkadzam więc nieraz i ja r… nośnemu, ale też odnoszę z tego pew…

I tak wpadła mi w ręce koperta, o… niewinna, z wierzchu troszkę kremowa… niebieska, z mapką Polski i napisem w otok… miłości kochanej Ojczyzny, czuję Cię ty… poczciwe...“

Ponad tem napis: „Rejtan“.

Jak dotąd, wszystko w porządku. Cieszę się, … mamy jakiegoś patryotę wydawcę, który naw… w ten sposób chce siać miłość Ojczyzny.

Ba... ale człowiek jest ciekawy, naciąga wię… nos okulary i zaczyna się przyglądać, jak też … glądała ta nasza Polska.

A tu aż mu włosy stają na głowie (n. b. je… je ma!) Widzi tam następujące nazwy miejscowośc… Gniezne, Sieroz, Pułowy, Lulbin, Zitomyrz, Kamó… Kudall, Molrylow, Czernikow, Gnaacok (ma b… Gdańsk!), Morze Baltyckle!... i wiele, wiele innyc… również pięknie poprzekręcanych nazwisk.

I jakaż z tego konsekwencya?

Otóż, albo ów pan wydawca, który jednak sk… mnie się kryje w cieniu i nie zdradza swego poch… dzenia, jest zagranicznym przedsiębiorcą, który „b… rze nas na patryotyzm“ i w ten sposób pozby… się swej tandety, albo też jest on wprawdzie Po… kiem, mieszka pośród nas i żyje z polskiego gros… ale robotę kopert oddaje zagranicy w myśl has… „Popierajmy przemysł krajowy!“... To taniej wypa…

Niechaj kto nie myśli, że przesadziłem … wszystkie powtórzyłem litera po literze, … dodać, ale też i nic nie uronić!

Przyznaję, że napotkałem także i … tych kopert, znaczonych nazwiskiem … i skonstatowałem, że wydanie jest … widocznie Wyspiański miał do fabryk… dlarza, więcej szczęścia, niż Rejtan! N… to jednak, że podobne postępowanie … publicznego napiętnowania i bardzo … dziwię, że nikt tego dotąd nie uczynił.

Zresztą widzimy to samo na zapał…ch, tak zwanych „krajowego wyrobu“, które ca…mi wagonami sprowadza się do nas z zagranicy, t… jest z innych krajów koronnych. Nawet na Węg…ech wyrabiają zapałki z polskiemi etykietami,choć… my w Galicyi mamy kilka fabryk i to wcale pow…nych.

Nam jednak smakuje i podoba s… więcej to, co obce, więc też korzystają z tego …iedeńscy i inni fabrykanci i zarzucają nas swą tandetą, a my samowiednie pracujemy na to, że, choć mamy w kraju fabrykę butów, niedługo będziemy mu…li chodzić boso.

To się u nas nazywa popier…iem przemysłu krajowego!...

Straszna katastofa w Warszawie.

Przed kilku dniami w Warszawie na Pradze przy ul. Srodkowej wydarzyła się katastrofa budowlana takich rozmiarów, jakich Warszawa nie pamięta już od lat szeregu. Budowano tam okazałą kamienicę pięciopiętrową z dwoma oficynami, również pięciopiętrowemi. Budowa doprowadzoną była już pod dach. Nagle pewnego dnia około godz. 1-ej popołudniu, tuż po ukończeniu przerwy obiadowej, jedna z tych oficyn runęła doszczętnie, rujnując także przylegającą do niej piętrową oficynkę. Gruzami zostali zasypani robotnicy w liczbie, jak się później po odkopaniu gruzów okazało, jedenastu. Tak małą stosunkowo liczbę ofiar zawdzięczać należy temu, że robotnicy dopiero w części przystąpili do pracy. Gdyby katastrofa zdarzyła się była o zwykłej porze roboczej, liczba ofiar w ludziach mogłaby być przerażająco wielka.

Ogromny huk zapadającej się kamienicy zaalarmował natychmiast okolicznych mieszkańców i władze. Pospieszyły natychmiast na ratunek dwa oddziały straży ogniowej, kilkuset saperów, pogotowie ratunkowe, policya. Praca nad usuwaniem gruzów i odkopywaniem zasypanych, co trzeba było uskuteczniać ostrożnie, trwała długo do późnej nocy. Wydobyto trupów cztery, rannych siedmiu, z których jeden zmarł w szpitalu. Wszystkie ofiary, to robotnicy pracujący przy budowie. Tylko jedna z nich była to siostra stróża owej piętrowej oficynki; sama jedna z jej mieszkańców była ona w domu i to jej przyniosło śmierć.



Zgon kaznodziei: S. p. Stefan Bratkowski na łożu śmierci.



Straszna katastrofa w Warszawie: Odgrzebywanie ofiar katastrofy budowlanej przy ul. Srodkowej na Pradze.

Przyczyną katastrofy było zbyt częste zresztą u nas, niestety, niedbalstwo w prowadzeniu budowy. Pośpiech, liche wapno, nadmiar piasku, niedostateczne ugruntowanie fundamentów. Już od paru tygodni podobno na ścianie oficyny ukazały się rysy. Nie dbając jednak na to, z pośpiechem wytężonym, dniem i nocą, a z lekceważeniem życia ludzkiego (wielu robotników wprost odmawiało pracy, widząc, co zagraża) prowadzono roboty. Rezultat wiadomy — straszny i bolesny.

Zgon kaznodziei.

W tych dniach zeszła do grobu wybitna postać duchowieństwa Krakowa — Jezuita ks. Stefan Bratkowski. Zmarły był najpopularniejszym kapłanem swego zakonu, jednoczył w sobie wszystkie jego cechy t. j.: głęboką wiarę, wielką wiedzę i energię. Niezwykły talent oratorski, poparty wielką żywotnością umysłu obok olbrzymiej erudycyi, czyniły z ks. Bratkowskiego wybitnego kaznodzieję, coroczne zaś jego rekolekcye ściągały tłumy wiernych ze sfer inteligentnych naszego miasta i okolicy. Szczególną opieką otaczał młodzież szkolną i uniwersytecką, czuwał nad nią i hojnie zasilał w potrzebie. Zorganizował Sodalicye Maryańskie panów, pań, uczniów gimn. i akademików i był ich moderatorem. Urodzony dn. 14 września 1853 roku w Zawalikach na Podolu rosyjskiem, po ukończeniu studyów średnich wstąpił w r. 1874 do nowicyatu OO. Jezuitów w Starej Wsi. Pracował przez długi czas jako kapłan we Lwowie; następnie był superyorem Zgromadzenia stanisławowskiego, skąd przybył do Krakowa przed laty dwudziestu i rozpoczął szeroką działalność społeczno-moralną.

„Hamlet“ w Krakowie.

Teatr krakowski przypomniał nam swe piękne chwile, z okresu swej najchwalebniejszej działalności — ze sceny im. Słowackiego przemówił wreszcie jej arcymistrz, najgenialniejszy z dramaturgów świata — Szekspir. A przemówił świetnie, zawsze żywe i wszem czasom współczesne jego postacie i myśli za sprawą dyrektora Pawlikowskiego i jego ensemblu wcieliły się u nas bezpośrednio, harmonijnie i całkowicie realnie. „Hamlet“ na scenie krakowskiej nie był eksperymentem archaicznym — owszem skrzył się wszystkiemi barwami swej wiecznej świeżości — żył prawdziwie, a przez to nie tylko ciekawił, ale wzruszał widownię. Ostatnia nasza premiera z najszlachetniejszego repertuaru była faktycznie tryumfem ducha — autora, artystów i publiczności. Okazało się, że mamy artystów godnych arcydzieł Szekspira, a sami nie zdążyliśmy rozpylkować się we współczesności, by „Hamleta“ oglądać tylko ze sno-



Z operetki albańskiej: Najmniejsi Albańczycy w pochodzie na cześć ks. Wieda.



Nowa „Szopka Krakowska“: Grupa „aktorów“ szopki.

bizmu lub względów „przyzwoitości“. Zasługa to w znacznej mierze ram, w jakich podano nam „Hamleta“ oraz gry artystów, którzy wspaniałych walorów, tkwiących w dziełach Szekspira nie zamazali, ani pominęli, a owszem swą inwencyą i pracą umieli wydobyć i uwypuklić. Ta pozorna prostota i jasność dzieł genialnych wymaga właśnie najwięcej talentu i zrozumienia ze strony odtwórców — krok jeden zły czyni z nich rzecz nudną lub śmieszną, a trzeba przyznać, że w wystawionym świeżo „Hamlecie“ nie było ani jednego, najdrobniejszego szczegółu, któryby go mógł osłabić, spr fanować. Doskonała gra artystów i reżyserya ustrzegły się tego, a także ze swej strony dodały to, co do uświetnienia tylko przyczynić się mogło. O samym „Hamlecie“ napisano już tyle, że każde słowo będzie tu komunałem, my ze swej strony możemy tylko polecić gorąco naszym Czytelnikom pójście obecnie do teatru i ujrzenie go w nadzwyczajnej kreacyi p. Adwentowicza i wystawie, jaką mu nadał dyr. Pawlikowski. Scenaryusz z tłomaczenia Józefa Paszkowskiego dodał kilka scen, dotychczas pomijanych, a zyskała na tem znacznie całość, bo monologiczny dotąd sposób inscenizowania otrzymał szereg wspaniałych epizodów „szekspirowskich“ t. j. najlepszych, jakie są. Strona dekoracyjna też bardzo pięknie i pomysłowo wypadła. Stosowano ją na wzorach Reinhardta, wprowadzając szybkie zmiany scen, dzięki czemu następowały sprawnie po sobie.

Z wykonawców wybili się przedewszystkiem p. Adwentowicz, jego „Hamlet“ zdolen jest zadowolić najwybredniejszych. Sekundowali mu doskonale pp. Bednarzewska (Ofelia). Mielewski (król Klaudyusz), pna Łuszczkiewiczówna (królowa), Bończa jako kapitalny grabarz i i. Nad całością czuwała niezawodna ręka reżyseryi dyrektora Pawlikowskiego oraz p. Jednowskiego.



Straszna katastrofa w Warszawie: Miejsce katastrofy, dom przy ulicy Srodkowej L. 11. na Pradze.



Skazanie morderców ś. p. Swiszczowskiego: Ława przysięgłych

Nowa „Szopka Krakowska“.

Ukazała się niedawno w księgarniach krakowskich książka o niezwykłym tytule: „Mobilizacya w Bronowicach“. Jako autor podpisany pod nią fi-





Skazanie morderców ś. p. Swiszczowskiego:

Ostatnie słowo Krajewskiego (X).

Tłumy publiczności na sali rozpraw.

guruje „Nygi“. Jest to satyra o głębszym podkładzie. Przewija się przez nią cały Kraków. Autor postawił sobie za zasadę moralną zdanie: „Jeżeli gryzę, to sercem gryzę“ - stąd wynika, że najlepiej mogą bawić się jego utworem właśnie ci, którzy są przez niego „nabrani“.



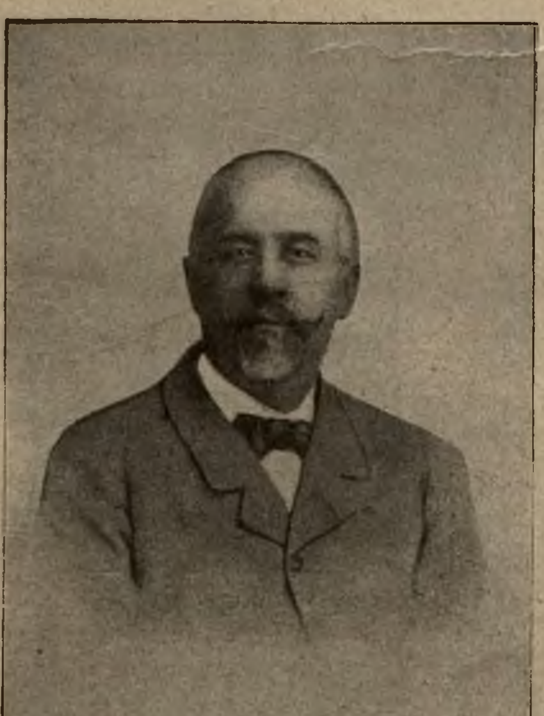
Nowa „Szopka Krakowska“: Artysta rzeźbiarz Tadeusz Błotnicki, twórca lalek.

„Nygi“ to nieodłączony towarzysz poety Edmunda Biedera, jego ukochany piesek japoński. Mamy wrażenie, że jego właściciel więcej włożył pracy w książkę, niż podpisany autor i dlatego podajemy jego podobiznę. W tych dniach ujrzymy „Mobilizacyę“ na scenie, jako teatr maryonetek. Lalki rzeźbił znany art. rzeźb. p. Tadeusz Błotnicki, który stworzył z osób umieszczonych w książce małe arcydzieła kunsztu rzeźbiarskiego. Projektował „szopkę“, ubierał i malował lalki architekt prof. Wiesław Żarzycki, a jak wywiązał się ze swego zadania będziemy w możności podziwiać we czwartek 24 b. m. na przedstawiu, na które się wybiera cały Kraków.

W dzisiejszym numerze podajemy prócz autora, także część lalek, oraz podobiznę ich twórcy pana Błotnickiego.

Polak ojcem awiatyki współczesnej.

Pisma francuskie przypomniały znów światu nazwisko polski jednego z najgenialniejszych techników naszych czasów, można rzec ojca współczesnej awiatyki i żeglugi podwodnej, inżyniera Stefana Drzewieckiego. Mieszkający od dzieciństwa w Paryżu i wychowaniec tamtejszych szkół oraz sławnej Szkoły centralnej, inżynier Drzewiecki dał nowoczesnej technice szereg genialnych wynalazków i pomysłów, które stały się klasycznemi podwalinami budowy aeroplanów i łodzi podwodnych. W r. 1877 służąc w marynarce rosyjskiej w Odessie, zbudował inżynier Drzewiecki łódź podwodną, t. j. taką, która odbywa podróż pod powierzchnią wody, i po udałych próbach udoskonalił ją do użytku dla kilku osób. Wynalazek ten zastosowały u siebie floty całego świata, a ostatnie jego udoskonalenia, jak projekt statku podwodnego, przyrząd do wyrzucania torped i t. zw. wodopancernik, okręt zbrojny, nieczuły zupełnie na najcięższe i najsilniejsze pociski, zakupił u wynalazcy rząd francuski, dając mu najwyższą nagrodę oraz stałą, wysoką pensyę. Oprócz tych wynalazków pierwsze zastosowanie przez inżyniera Drzewieckiego w r. 1892 śruby do aeroplanów było w tej dziedzinie epokowem. Od tej chwili datuje się



Polak ojcem awiatyki współczesnej: Inżynier Stefan Drzewiecki.



Najsławniejszy tenor francuski w Krakowie: Karol Dalmorés, jako „Lohengrin“.

właściwy rozwój żeglugi powietrznej. Głośne było w świecie naukowym starcie się polskiego wynalazcy z technikami-teoretykami, którzy jego broszurom o awiatyce i teoryi lotu ptaków zarzucali utopijność. Życie wykazało, że wynalazca miał racyę, a sława, jaką przyniosły mu jego pomysły, była zasłużonym tryumfem genialnej myśli i nauki polskiej.

Inż. Drzewiecki urodzony 1844 r. w majątku rodowym Kuńce na Podolu, jest synem znanego na kresach naszych obywatela i pisarza Karola, a wnukiem legionisty, sławnego „pana szefa Drzewieckiego“.



Nowa „Szopka Krakowska“: Edmund Bieder, autor „Mobilizacyi w Bronowicach“.

Mimo dość poważnego wieku pracuje on nadal nad awiatyką i przed rokiem wystąpił znów z przyrządem, regulującym automatycznie ruch aeroplanu.

Najsławniejszy tenor francuski w Krakowie.

Dla muzyków naszych tydzień przyszły stoi pod znakiem niebywałego koncertu. Da się u nas słyszeć jeden z największych śpiewaków współczesnych, bajeczny tenor francuski Karol Dalmorès. Dyrekcyi koncertów krak. powinszować można tak niezwykłego engagement. Będzie ono świetnem zakończeniem wspaniałego sezonu tegorocznego. Dalmorès jest jedną z tych wielkich gwiazd śpiewaczych, które Ameryka rok rocznie zatrzymuje, pozwalając „starej ziemi“ cieszyć się nimi tylko na wiosnę, gdy sezon nowojorski już się skończy. Wspaniały głos, wyjątkowa muzykalność i ogromny talent aktorski, są dźwigniami światowej sławy wielkiego śpiewaka. Jego najsławniejsze partye to Lohengrin, Radames, Samson, Faust, Don José. Gdy w roku zeszłym śpiewał w Paryżu Zygfryda, cała prasa paryska stwierdziła, że od czasów Jana Reszkego w Wielkiej Operze nie słyszano równie świetnego przedstawiciela tej partyi. Amatorzy śpiewu powinni skorzystać z okazyi usłyszenia tej wielkości.



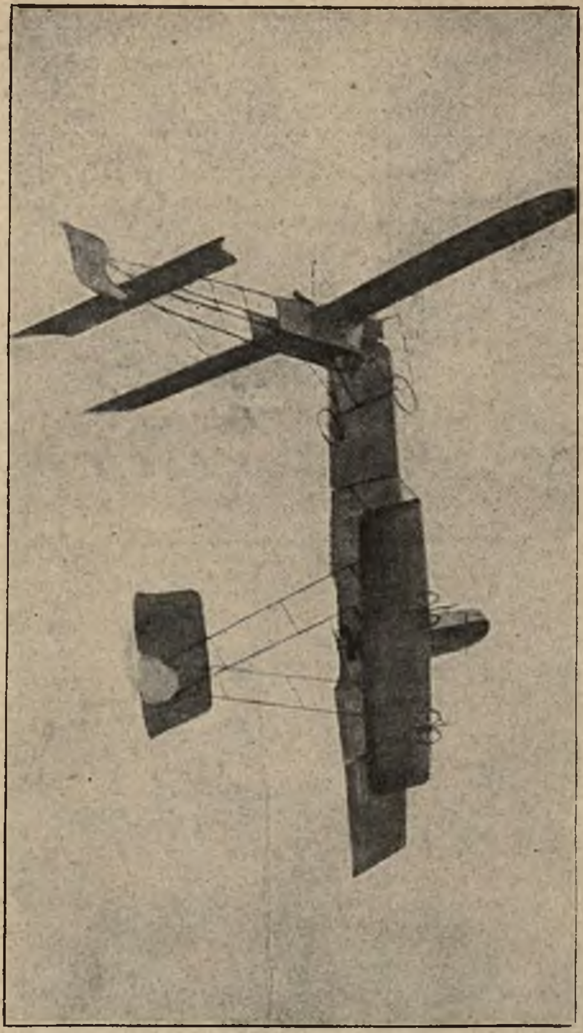
Uznanie zasług: Jubilat p. Józef Juszczyk w otoczeniu członków Zgromadzenia mistrzów krawieckich w Warszawie.

Uznanie zasług.

W tych dniach odbyło się w Warszawie uroczyste posiedzenie zgromadzenia mistrzów i mistrzyń krawieckich, celem uczczenia zasłużonego członka zgromadzenia p. Józefa Juszczyka, przez lat 25 (do r. 1901) starszego tego zgromadzenia. Z tej okazyi jubilat zaofiarowaną mu w dzień jubileuszu przez członków w dowód hołdu i uznania kwotę 3.000 rb. przelał do ogólnego majątku zgromadzenia z tym warunkiem, że odsetki od tej sumy wydawane będą dwa razy do roku jako zapomogi na kształcenie dzieci majstrów, mistrzyń i czeladzi. Fundusz nosi miano: „funduszu imienia Józefa Juszczyka".

Zderzenie aeroplanów w przestworach powietrznych.

Do różnych spotkań, zderzeń itp. jesteśmy wcale dobrze przyzwyczajeni. To samochód się spotka z tramwajem, to pociąg z wozem, to pociągi spotkają się między sobą. Jakkolwiek to wszystko nie obywa się bez ofiar w ludziach, to jednak są to już sensacye dość pospolite, gdyż odbywają się zawsze - na ziemi. Natomiast zderzenie w powietrzu stanowi jeszcze *casus* rzadki, dla amatorów silnych wzruszeń nawet przyjemny. Tem przyjemniejszy zaś — już bez zastrzeżeń i dla wszystkich, gdy obędzie się bez ofiar, jak właśne zderzenie przedstawione na naszej rycinie. Wydarzyło się ono na zawodach lotniczych w Heliopolis w Egipcie. Trzej lotnicy francuscy, Chevillard, Guillot i Olivie, wykonywali razem zgrabne i śmiałe zwroty w powietrzu, gdy nagle aeroplan Guillota tak się zbliżył do aeroplanu Chevillarda i otarł o niego, że publiczność na dole w trwodze już oczekiwała upadku obu na ziemię.



Zderzenie aeroplanów w przestworach powietrznych: Przypadkowe zdjęcie nieszkodliwego karambolu.

Zniszczony obraz za milion koron.

Współczesna „szeroka publiczność" niezbyt się interesuje sprawami sztuki. Dzienniki też im niewiele poświęcają miejsca. I jednym z nielicznych czynników, który od czasu do czasu dosadnie zwraca uwagę i publiczności i dzienników ku dziełom artystycznym, są — nowocześni barbarzyńcy - wandale. Wandale „bez zasad", materyaliści - t. j. złodzieje, którzy kradną najcenniejsze obrazy i rzeźby dla zysku i wandale „ideowi", którzy te obrazy i rzeźby niszczą, aby w ten sposób dać wyraz swoim „przekonaniom".

Do tej ostatniej kategoryi należy sufrażystka Mary Richardson, która niedawno zniszczyła słynny obraz Velasqueza „Venus ze zwierciadłem". Obraz ten przed stosunkowo niedawnym czasem nabyto za 40.000 funtów (milion koron) do Londyńskiej Galeryi Narodowej. I tam właśnie spotkał go smutny los.

Tak energiczne i niezbyt umotywowane wystąpienie sufrażystki przeciwko bogini miłości i piękności jest niemal symboliczne. Sufrażystki bowiem przeważnie rekrutują się z pośród niewiast, które z miłością — grzecznie mówiąc — się rozmijają, jak również z pięknością. Jakieś kilka pięknych i faworyzowanych przez Amora wyjątków pomiędzy sufrażystkami potwierdzają tylko regułę. Oczywiście, p. Richardson tak symbolicznym swego czynu zrobić nie chciała. Chciała ona w ten sposób tylko wywalczyć prawa dla całej „uciśnionej" piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. O ile cel swój osiągnęła, to się jeszcze okaże. Na razie swym herostratowym czynem zwróciła uwagę ogółu ku sprawom sztuki, za co już nie Venus, ale Apollo jej podziękuje.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy reprodukcyę zniszczonego przez sufrażystkę dzieła sztuki.



traszna katastrofa w Warszawie: Wydobyte z pod gruzów zwłoki Julii Rakowskiej i Andrzeja Ratajczyka.



Zniszczony obraz za milion koron: Obraz Velasqueza „Venus ze zwierciadłem", zniszczony przez sufrażystkę Richardson w londyńskiej Galeryi Narodowej.



Zasądzeni za szpiegostwo: Malarz Teodor Hryniewicz.

Ale obeszło się na strachu, obaj lotnicy pomyślnie dokończyli swych ewolucyj przy oklaskach rozentuzyazmowanego tłumu.

Illustracya nasza przedstawia to niezwykłe, a prawdopodobnie pierwsze spotkanie aeroplanów.

Zasądzeni za szpiegostwo.

Śledztwo i procesy o szpiegostwo ciągną się nieprzerwaną nicią w lwowskim sądzie karnym. Po wyroku następują nowe aresztowania, znowu wyroki i tak bez końca.

Z szeregu zasądzonych podajemy podobizny dwóch osób zasądzonych w ostatnich czasach przez lwowski trybunał karny za szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa, mianowicie: Heleny Mikołajewnej Korczewej, która dopiero rozpoczęła karyerę szpiegowską i Teodora Hryniewicza, malarza cerkiewnego, zamieszkałego koło Bóbrki w Galicyi. Hryniewicz zasądzony został na 18 miesięcy ciężkiego więzienia, obostrzonego postami, Korczewa zaś na 15 miesięcy ciężkiego więzienia.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobizny Korczewej i Hryniewicza.



Zasądzeni za szpiegostwo: Helena Mikołajewna Korczewa.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Trójkąt magiczny:

K l o n o w i c z
L e w k o n i a
O r e s t e s
N i e m c y
O ż y n a
W a z a
I n n
C o
Z

Przysłowiówka: Z pustej stodoły i wróbel nie wyleci.

Łamigłówka: Popielec.

Łamigłówka:

M i ś
l e w
n i l
k ę s
t o n
y a k
e m s
i w o
k o s
l o s
k ł y
a r a
m a j

Depesza: Kraszewski, Cztery wesela, Hołota, Sfinks.

Logogryf:

N i c e a
O ż y n a
F e b r a
O p a l
T a r a
E t n a
N o s
I n n
K r a

Bilety wizytowe: Kancelista. Aptekarz, Akademik handlowy. Eskonter prywatny, Kościelny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: S. Kowalówka Kraków, K. Radomski Warszawa, S. Galiński Nowy Sącz, M. Wańkowicz Mińsk, J. Rogalski Rzeszów, W. Rachwalski Bochnia, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, F. Horak Oświęcim, J. Kopczyńska Bierzanów, S. Bukowski Równo, J. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, A. Biliński Tarnopol, J. Krawecki Bochnia, M. Więckowska Łódź, Cz. Lipiński Zakopane, M. Wędrychowska Sanok. E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwow, S Kamocki Jasło, H. Ungar Lwów, J. Wolny Warszawa, S. Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, K. Radoszewski Tarnobrzeg, H. Radziński Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, W. Sołtysik Lwów, S. Rogalski Tarnów, J. Waligórski Lwów, R. Sadowski Kraków, M. Kobyłecka Stanisławów, M. Kozicka Lwów, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Maciejowska Winnica, L. Kwaśniewski Piotrków, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, J. Wilkosz Rzeszów, S. Sygnarska Tarnów, F. Frankowicz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Broda Tarnów, K. Gliński Kołomyja, J. Pick Warszawa, I. Brzostowski Krosno, S. Balicki Lwów, M. Lisowska Sambor, H. Obst Jasło, J. Lipowski Lwów, W. Nawrocki Warszawa, M. S. Kostecki Lwów, J. Wilczkiewicz Sambor, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, D. Sedyńska Zakopane, K. Kaim Warszawa, J. Jakubowska Kraków, W. Ostrowski Warszawa, J. Nowacki Sniatyn, J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło K. Reichenberg Cieszyn, A. Bauer Lwów, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blätterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, R. Linderski Siemiechów, D. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. S. Kamiński Petersburg, J. Łopatkiewicz Sambor, H. Figiel Sanok, M. Domagalska Kraków, W. Raczyńska Sanok.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Bukowski, Równo.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Ze sportu wioślarskiego. Oddział wioślarski „Sokoła" krakowskiego zawiadamia, iż rozpoczyna swój ruch ćwiczebny z dniem 5 kwietnia b r. — Aby umożliwić uprawianie sportu już z dniem otwarcia sezonu, ustanowiono od 17 b. m. — w każdy wtorek i piątek od godziny 5 do 7 wiecz. dyżury na nowej przystani, mieszczącej się przy ulicy Zwierzynieckiej L. 44 (przy moście prowadzącym na Dębniki), gdzie mogą się zgłaszać interesowani, celem poinformowania się i dopełnienia niezbędnych formalności wstępnych.

„Niebieska Myszka". W teatrze świetlnym **„Uciecha"**, przesuwały się już niejednokrotnie komedye i humoreski, któremi świetnie bawili się widzowie. Warto przypomnieć komedyę „Młodość — Płochość", dalej „Aniołeczka" z Astą Nielsen, były to rzeczy pod względem humoru pierwszorzędnej wartości. Obecnie pojawił się obraz „Niebieska Myszka", przewyższająca wymienione humorem i zabawnemi sytuacyami. Te zalety zdobyły nadzwyczajne powodzenie „Niebieskiej Myszki", w Wiednin n. p. grano ją 400 razy z rzędu, również setki razy w innych wielkich miastach. Takiego powodzenia nie miał jeszcze w kinoteatrze żaden obraz komedyowy, a powodzenie to zupełnie zasłużone. Świadczy o niem krótka treść obrazu. Chcący awansować urzędnik posługuje się wynajętą artystką, któraby udawała jego żonę i wyjednała mu u szefa szybki awans. Ten podstęp wywołuje coraz to zabawniejsze pomyłki i nieporozumienia. Zastępującą żonę kobietą, jest artystka, używająca pseudonimu „Niebieska Myszka". Gra ją specyalistka do ról kokietek, Magde Lessing. Nadto w program wchodzi humoreska „Bubi i Czarna ręka".

„Koło krakowskie Tow. Walki z gruźlicą" zawiadamia, że zapisy dzieci do półkolonii w parku dra Jordana rozpoczynają się 2-go kwietnia r. b. i odbywać się będą w Miejskim Urzędzie Zdrowia w Magistracie (Poselska L 10 na parterze) w godzinie 3 a 6 p. Dzieci przyjmowane będą od lat 4 do 6 Szkolnych dzieci się nie przyjmuje. Do zapisu należy przynieść z sobą świadectwo lekarza miejskiego odpowiedniego okręgu.

Z dniem otwarcia półkolonii przynieść należy wagę dziecka Opłata wynosi 2 kor. miesięcznie.

Celem uświetnienia 60 rocznicy swego istnienia urządza Towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie wystawę pod nazwą: **I. Salon wiosenny.** Wystawa obejmuje dzieła współczesne polskich artystów z dziedziny rzeźby, malarstwa i sztuki stosowanej. Inicyatorowie wystawy wychodzą z założenia, że wszystkie trzy powyżej wyliczone gałęzie powinny się złączyć na jubileuszowej wystawie w jedną harmonijną całość. Stosownie do tego będzie staraniem Zarządu cel ten osiągnąć przez odpowiednie przekształcenie wnętrza gmachu i w ten sposób uzyskanie dla wystawy, mimo małych przestrzeni, najkorzystniejszych warunków. W salach pomieszczone będą: Nr. 1. Rzeźba i drobna plastyka Nr. 2. Malarstwo Nr. 3. Grafika i meble. Nr. 4 i 5. Wnętrza willowe, urządzone przez „Krakowskie Warsztaty". Nr 6, 7 i 8. Malarstwo i rzeźba.

Towarzystwo stara się o udzielenie na wystawę jubileuszową państwowych medali złotych i srebrnych, tudzież czyni starania o zakupy z wystawy na rzecz państwa, kraju i miasta do zbiorów publicznych.

Wreszcie Zarząd Towarzystwa postanowił poczynić w czasie trwania tej wystawy znaczniejsze zakupy dzieł sztuki do rozlosowania, tudzież rozwinąć akcyę nad stworzeniem funduszu emerytalnego i zapomogowego dla artystów polskich oraz wdów i sierót po nich.

Katalog wystawy będzie illustrowany rysunkami umyślnie na ten cel nadesłanymi przez wystawców.

Program związanych z wystawą uroczystości rozesłany będzie zaproszonym gościom i wystawcom ośm dni przed otwarciem wystawy.

Z półek księgarskich.

„Świat kobiecy", dwutygodnik illustrowany. Pismo poświęcone wszystkim sprawom kobiety w jak najszerszem tego słowa znaczeniu, redagowane przez najwybitniejsze siły pisarskie pod kierownictwem Maryi Ochorowicz-Monatowej. Wydanie nader staranne, treść obszerna, dotycząca nie tylko spraw kobiety, ale mająca wartość pod każdym względem dla każdego bez wyjątku czytelnika. W piśmie tem doczekało się nareszcie społeczeństwo polskie wyrazu swych od dawna nietajonych oczekiwań i pragnień.

Epokowy krajowy wynalazek. Na polu kosmetyki wyprzedzali nas dotąd zawsze Francuzi. Krajowe kosmetyczne laboratorium Dr. A. Rix, Wiedeń IX. Berggasse 17. dostarcza nam **„Perłowego pudru-kremu"** jest to puder w formie pasty bez tłuszczu. Wszystkie błędy lotnego pudru są przez to zni- sione. Damy wyższych sfer z Paryża, sprowadzają środki letowe z Wiednia. Próbki wysyła się darmo.

Przewrót w budowie motorów! Poniekąd ideałem maszyny popędowej był dotychczas motor Diesla, albowiem żaden z istniejących licznych innych systemów motorów wybuchowych nie mógł zaletom jego genialnej konstrukcyi dorównać. Jednakowoż wysokie koszta i okoliczność, że nabycie takiego motoru o niniejszej wydatności (poniżej 15 s. k.) się nie opłacało, przeszkadzały rozpowszechnianiu się tego zresztą dominującego typu. My możemy naszym czytelnikom donieść zarówno interesującą, jak i pocieszną nowinę, że się udało krajowej fabryce ropnych motorów która się już od szeregu lat zajmuje budową motorów, wykonać typ motoru ropnego, który mimo znacznie niższej ceny (przy niektórych wielkościach o 50 o|o taniej) posiada charakterystyczne zalety motorów Diesla, jak nieznaczne zużycie materyału opałowego, wydmuch wolny od dymu i niemiłego zapachu, przytem jest obsługa tej nowej maszyny nadzwyczaj łatwa i można nadzór nad nią każdemu powierzyć, podczas gdy obsługa motoru Diesla wymaga egzaminowanej osoby, która się maszyną przez większą część dnia zajmować musi. Nowy ten typ buduje począwszy tak, że już drobni przemysłowcy gospodarze wieścy i t. p. z zalet tych maszyn korzystać mogą. Otrzymujemy wiadomość, że już wielka ilość tych motorów systemu Henryk Bachrich — inżynier Huber w monarchii austryacko-węgierskiej w ruchu się znajduje. Firma, wykonująca te motory Towarzystwo kommandytowe Bachrich i Ska, Wiedeń, Heiligenstadt jest i tak już każdemu znana, jest to tasama firma, która już niejednokrotnie odznaczoną została między innem otrzymała także pozwolenie używania w napisach cesarskiego orła (a której wyroby nietylko w monarchii ale i poza granicami wielkie wzięcie posiadają, co ma w eksporcie wielkie znaczenie dla przemysłu austryackiego, wobec szalonej przemocy niemieckiej, szwedzkiej, angielskiej i amerykańskiej konkruencyi.

DZIWNA HISTORYA.

Kończyliśmy jeść obiad, podawano deser, gdy nagle Jan zaczął mówić o okultyzmie.

Mnie osobiście obojętnym był w tej chwili temat. Czułem się najedzony, opanowała mnie chęć drzemki. Chce mówić o okultyzmie — niech mówi o okultyzmie.

Od okultyzmu rozmowa przeszła na czarną i białą magię, kabalistykę, satanizm, i t. d.

W naszem towarzystwie znajdował się jeden gość, który przez cały czas naszej rozmowy nie wyrzekł ani jednego słowa, i zdawało się, że wcale nie zwraca na to uwagi o czem mowią, a był to nasz kochany, niezastąpiony towarzysz Władek.

W tej chwili całą swoja uwagę zatopił w szklance grogu, w którym prócz najmocniejszego rumu i małej ilości cukru prawie nic nie było.

— Władek, a ty wierzysz w okultyzm? — zapytał ktoś z nas nagle.

— Zlitujcie się! Jeśli chcecie mojej śmierci, to mówcie ze mną o okultyzmie i temu podobnych rzeczach... Samo słowo „okultyzm“ przypomina mi najsmutniejszy dzień w mojem życiu.

— Co, co mówisz? — wykrzyknęli wszyscy obecni jednocześnie.

— Na miłość Boską nie mówmy o tem. — Nigdy w rozmowie ze mną nie poruszajcie tego tematu.

— Ależ opowiedz! — nalegaliśmy.

— Dobrze, oto takim jak mnie widzicie w tej chwili, pewnego razu w przeciągu całej doby chodziłem w cudzej skorze, w ziemskiej powłoce jakiegoś innego człowieka, którego nigdy nie widziałem, a którego dotychczas nie znam wcale.

— Musisz nam to opowiedzieć — prosiliśmy!

Biedny Władek zmuszony był uledz naszej prośbie i zaczął:

Zdarzyło to się rok temu. Jak w dniu dzisiejszym, tak i wówczas spędziłem cały dzień i noc u jednego kolegów, rozmawialiśmy również o rzeczach nadprzyrodzonych. Próbowaliśmy stolików wirujących i wywoływaliśmy duchy. Można przypuścić, że duchy żyjące niegdyś na ziemi, które przeszły na lepszy świat bardzo mało mają tam zajęcia, gdyż zjawiają się na każde nasze zawołanie. I owego dnia przybyły w komplecie wszystkie na nasze wezwanie i to same najpoważniejsze.

Gdybym opowiadał, że podczas tych seansów mało piłem, skłamałbym. Jednem słowem zaledwie wyszedłem i twarz moją owionęło świeże tchnienie nocy, zrozumiałem, że przebrałem miarę...

Skierowałam swe kroki na ulicę św. Jakóba i zupełnie niepostrzeżenie znalazłem się w pobliżu morgi*).

Switało już. Wracać o tej godzinie było za wcześnie, a jednocześnie i zapóźno. Jakby ulegając jakiejś potajemnej sile, wszedłem do trupiarni.

Wyobraźcie sobie moje przerażenie, gdy w pierwszym trupie, leżacym na zimnych płytach, poznałem moją przyjaciółkę — śliczną dziewczynę.

— Zniknij straszne widziadło! — wykrzyknąłem.

Ale widziadło nie znikło, a ja trzęsąc się z przerażenia i wzruszenia, rzuciłem się na stróża, krzycząc:

— Wiesz, ja znam tę młodą dziewczynę.

— Daremnie pan się trudzi — odpowiedział stróż spokojnie. Nie potrzebujemy żadnych objaśnień, osobistość samobójczyni stwierdzona. Znaleźliśmy przy trupie potrzebne papiery. List, jaki pozostawiła, oznajmia, że dobrowolnie utopiła się wraz ze swym kochankiem...

— Jakto? Kochankiem jej jestem ja!!...

— Myli się pan, kochankiem tej pani był ten człowiek, który leży obok na sąsiednim stole.

Ciekawość przewyższyła moją rozpacz, podszedłem i spojrzałem na trupa mężczyzny, który był mojem rywalem....

Gdybyście nie wiem, jak wysilali mózg, nie domyślicie się nigdy, kogo ujrzałem. Oto moim rywalem byłem ja sam.

— Nie potrafię opowiedzieć wam, jakiego doznałem wrażenia, gdy się przekonałem sam naocznie, że tym szubrawcem, kochankiem mojej kochanki byłem ja. Poznałem nietylko siebie, ale i swoje ubranie, buty, bieliznę, kołnierzyk.

— Słuchaj — rzekłem do siebie — przedewszystkiem spokojnie! Spokój i raz jeszcze spokój!

Później zaś zwracając się do stróża, głosem zupełnie obojętnym przemówiłem:

— To dziwne, jak ten pan jest podobny do mnie. Pan też chyba znajduje to podobieństwo?

Stróż rozcśmiał się głupio i rzekł:

— Tak pan do niego jesteś podobny, jak ja do papieża.

Pozostawało mi przejrzeć się w lusterku, które na szczęście miałem ze sobą.

I wyobraźcie sobie... wyobraźcie sobie tylko, że nie mogłem poznać sam siebie, widziałem w lustrze jakiegoś wielkiego pana — o bladej twarzy i czarnych bakobrodach.

Przeniosłem wzrok na ubranie i ujrzałem szare w kratę ubranie, jakiego nigdy w życiu nie miałem.

Wyciągnąwszy z bocznej kieszeni pugilares, znalazłem bilety wizytowe jakiegoś nieznanego mi hiszpana. A więc ja, który ani jednego słowa nie umiem po hiszpańsku, jestem Hiszpanem...

*) Publiczna trupiarnia, gdzie wystawiają zwłoki osób o niestwierdzonej tożsamości

Zaczynało to być zabawne. Zrozumiecie chyba łatwo, w jakiem znalazłem się położeniu.

Chciało mi się przytem strasznie spać. Upadłem ze znużenia.

— Pójdę spać zaraz! — pomyślałem — natychmiast...

— Ale dokąd? Do kogo? Do siebie? Czy do niego?

— U mnie w domu mnie nie przyjmą, gdyż nie poznają... Do niego... Ale jak, jeśli ma żonę i dzieci, którzy ucieszeni mojem powrotem, przemówią do mnie po hiszpańsku.

— Dalej zaś... Adres jego miałem, znałem ulicę, numer domu i mieszkania, ale które to piętro? Nie mogę przecież zwrócić się z podobnem zapytaniem do stróża, który weźmie mnie za waryata i, Bóg wie, jakie będzie tworzyć domysły.

Powtóre, co mam powiedzieć żonie? O czem z nią mówić? Jak porozumieć się z nią, skoro nie znam języka? O Boże!

W życiu swojem niejednokrotnie byłem w bardzo ciężkiem położeniu, prawie bez wyjścia, ale podobny wypadek zawiły, zdarzył mi się po raz pierwszy. Po wyjściu z trupiarni skierowałem swe kroki do tej dzielnicy, którą znałem najlepiej. Naturalnie nikt mnie nie poznawał.

Tymczasem kilka nieznanych mi zupełnie osób kłaniało mi się uprzejmie mijając mnie, inni podchodzili i uściskali mnie serdecznie za rękę i opowiadali jakieś historye albo dzielili się ze mną jakiemiś tajemniczemi wiadomościami, jak i co im opowiadałem — nie pamiętam.

Zmęczony tem wszystkiem wszedłem do jakiejś kawiarni, gdzie kelner podał mi hiszpańską gazetę.

Po chwili jakichś dwóch mężczyzn przyjechało powozem i zatrzymali się około kawiarni. Jeden z nich, zobaczywszy mnie, podszedł szybko i wręczył mi banknot tysiąckoronowy — przepraszając uprzejmie, że wcześniej nie mógł oddać mi długu.

Sprawa cała zaczynała mnie męczyć, byłem w coraz krytyczniejszem położeniu — więc postanowiłem pozbawić się życia. Człowiek, który stracił swoją osobowość, nie ma prawa istnieć.

Po chwili jednak przyszło mi na myśl, że byłoby wielkim głupstwem umrzeć teraz, gdy mam tysiąc koron w kieszeni.

— Mój Boże, co za wspomnienia!?

Ponieważ wspomnienia za silnie podziałały na Władka, więc biedak wypił natychmiast szklankę grogu, w której prócz rumu nic więcej nie było.

Naraz jeden z nas zapytał!

— Kiedyż wreszcie nastąpił powrót twojego „ja“ do własnej twej powłoki?

Władek po chwili milczenia odpowiedział zimno:

— Następnego dnia!

— ??

— Zaraz po tem, jak się wytrzeźwiłem...

K O N I E C.